



Alter
pop

#13

ISSN 2084-4999 1,23 zł (23% VAT) sierpień 2013

Dźwięk:

Obraz:

Słowo:

Interakcje:

Alter
pop
MAG E-ZINE

numer 13
sierpień 2013
ISSN 2084-4999

Redaktor naczelny

Tadeusz Bisewski

Redakcja

Kamil Downarowicz
Karolina Joisan
Maciej Kaczmarowski
Ana Matusevic
Jakub Miłszewski
Agnieszka Młynarczyk
Wojciech Onyszków

Korekta

Michał Adamski

Wydawca

Alterpop Media s.c.
ul. Śląska 35/37
81-310 Gdynia



**NIE OGARNIASZ
INTERNETU
?**

**WYPRÓBUJ NOWE,
NIEZWYKLE FUNKCJONALNE**

ALTERPOP.PL

PREMIERY *płytowe*

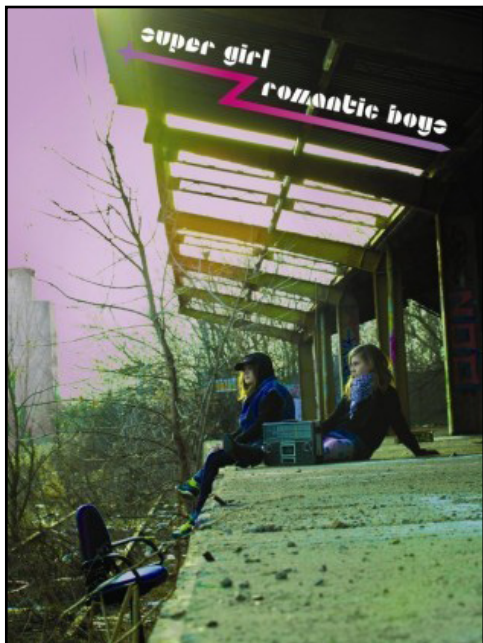
#electro #disco chaos #new romantic

Super Girl & Romantic Boys

Miłość z tamtych lat

Rzadko się zdarza, aby płyta miała status debiutanckiej i jubileuszowej zarazem, a już w dniu premiery była określana jako legendarna. Jak to możliwe? Zespół Super Girl & Romantic Boys powstał w 1998 roku. Materiał na płytę nagrali po pięciu latach działalności, ale ta ukazała się dopiero teraz – na piętnastolecie istnienia zespołu. Powodem opóźnienia była feralna umowa z wydawcą, który w ostatniej chwili zrezygnował z nagranych materiału, jednocześnie blokując go na 10 lat. Tymczasem popularność udostępnionych już nagrań, z hitem **Spokój** na czele, wciąż rośnie, a brak oficjalnego wydawnictwa przyczynił się do utrzymania statusu undergroundowej legendy.

Z okazji wydania płyty zespół postanowił się nawet reaktywować na (jak na razie) jeden koncert, który będzie miał miejsce na tegorocznym Off Festivalu. Do nagrań dołączono bonus w postaci krążka DVD, na którym znalazło się naprawdę dużo materiałów archiwalnych dokumentujących działalność grupy w różnych okresach. Pozostaje tylko mieć nadzieję, że to swoiste video-pod-



sumowanie nie jest jednocześnie ostatecznym pożegnaniem. Trudno by mi było jednak w to uwierzyć.

Jaka jest twórczość Romantików? Na pewno bezkompromisowa, oryginalna, wybitna w swym rodzaju. Na potrzeby krążka surowy ze swej natury materiał zderzył się z profesjonalną produkcją i masteringiem. Trzeba przyznać, że wyszło mu to na dobre. Nie tracąc nic z wyjątkowego klimatu, nagrania stały się wyraźniejsze. Dzięki temu płyta może kręcić się w odtwarzaczu przez wiele godzin, stanowiąc przy okazji świetne tło dla różnych aktywności – bardziej motorycznych niż umysłowych. [tb]

#drone #post-rock #noise

Fuck Buttons

Slow Focus

Andrew Hung i John Benjamin Power pochodzą z Bristolu, ale senny trip hop, z jakiego zasłynęło to angielskie miasto, jest im obcy. Dokonania duetu to energetyczna mieszanka post-rocka, elektroniki i noise'u, jednak słowa nie oddają sprawiedliwości muzyce. Znakem firmowym Fuck Buttons jest potężna ściana dźwięku zbudowana z gęsto mielonych syntezatorów, psychodelicznych drone'ów, wyrazistej rytmiki i wszechobecnego przesteru. Po znakomitych albumach **Street Horrrsing** (2008) i **Tarot Sport** (2009) Guziki po raz trzeci wytaczają ciężką artylerię i ponownie nie biorą zakładników. Otwierający całość perkusyjny tętent w **Brainfreeze** ustępuje pod naporem spiętrzonej kawalkady dźwięków, by dopiero w finale zdjąć nogę z gazu... a może z gardła. Singlowy **The Red Wing** (tutaj w dłuższej, pra-

Skala ocen:

Space Ritual

Stairway To Heaven

To musi być miłość

Dusza diabłu sprzedana

Nadciąga noc komety

I Can't Get No Satisfaction

Welcome To The Jungle

Ta piosenka powstała dla pieniędzy

**
Mam tak samo jak ty

*
Kim jest człowiek,
jeśli nie człowiekiem tylko



wie ośmiominutowej wersji) zaczyna się od niesforne go rytmu i swawolnej melodii, ale już po chwili zniekształcony syntezator skutecznie zagłusza jedno i drugie. **Prince's Prize** brzmi jak wymaginowane wspólne nagranie Clarka i nieodżałowanego Coila. Z kolei **Sentients** wiele zawdzięcza wczesnemu Autechre. Album wieńczy dwa dziesięciominutowe kolosy – **Stalker** i **Hidden XS**. Powalające! Ale Guziki, to nie tylko rozmach, hałas i intensywność. To także kapitalne melodie i spory ładunek emocjonalny. Ten na **Slow Focus** uderza w mroczne, iście dramatyczne tony. Zgiełk dawno nie brzmiał tak przejmująco i doskonale.

[mk]

#sludge #stoner #rock

Kylesa

Ultraviolet

Piękne kobiety wyglądają wspaniale we wszystkim, co na siebie włożą. W podobny sposób można pomyśleć o amerykańskim zespole Kylesa, który obojętnie czy gra sludge, stoner, post rock, doom metal czy hardcore – zawsze prezentuje się wyśmienicie.

Na swoim najnowszym krążku grupa zwalnia obroty, wyhamowując tym samym swoją diaboliczną, nieokiełznaną gitarową maszynę. Ale niech wielbicieli szybkiej jazdy się nie zniechęcają – tej jest na **Ultraviolet** także całkiem sporo, choć nie w takiej ilości, jak w przypadku poprzednich albumów.

Tym razem Phillip Cope oraz Laura Pleasants prowadzą nas najpierw post-rockową ścieżką do spowitego



gęstą mgłą mrocznego lasu, później podziwiamy wraz z nimi groźną, sludgowo-stonerową erupcję wulkanu, by na koniec zanurzyć się w bagnistej punkowej psychodeli. Jest to podróż zachwycająca, zaskakująca, pochłaniająca i pozostawiająca trwały ślad w pamięci. Dla fanów ciężkiego grania rzecz obowiązkowa w tegorocznym menu. [kd]

#doom #stoner #metal

Trouble

The Distortion Field

Nie mogę się nie cieszyć z tej płyty. Nie dość, że jeden z najbardziej zasłużonych bandów na doom/stonerowej scenie wraca w świetnej formie, to jeszcze – ku mojemu zaskoczeniu – na pokładzie grupy znajduje się jeden z moich ulubionych wokalistów. Głos Kyle'a Thomasa przypadł mi do gustu już przy okazji ostatniej płyty Alabama Thunderpussy. Było to dawno temu, dlatego tym bardziej się cieszę, że facet nie zniknął gdzieś na prerii i dalej nagrywa dobre płyty.

The Distortion Field to album bardzo równy i przewidywalny. Z tą różnicą, że przewidywalność jest tutaj zaletą, bo wszyscy lubimy posłuchać czegoś, co po prostu trafia w nasze gusta i nie próbuje na siłę poszerzać nam horyzontów. Nikt raczej nie oczekuje od Trouble, że będzie miało zakusy zostać drugim The Dillinger Escape Plan. Oni mają po prostu zagrać swoje. I to robią.

Krążek składa się z 13 fajnych, dość klasycznie brzmiących stonerowych numerów. Nie wiem, czy to kwestia ewolucji, czy wpływu Thomasa, ale pły-



ta brzmi bardziej rockowo, choć nie zabrakło też pewnych urozmaiceń. Trafi się i typowa południowa balladka (***Have I Told You***) oraz bardziej klasyczny heavy metalowy numer (***The Broken Have Spoken***). Doom metalu tu niewiele, ale dla niego też znalazło się miejsce (choćby początkowy riff w ***Sink Or Swim***). Album brzmi dokładnie tak, jak powinien – sekcja rytmiczna pędzi do przodu poganiana przez dudniący bas, a nad tym wszystkim wiszą gitary, które potrafią być ultra ciężkie, aby momentami dodawać bluesowego ***feelingu***. No i wspomniany Kyle Thomas, który jest wisienką na torcie. Całości słucha się bardzo dobrze i osobiście nie mam zamiaru ukrywać, jaką niespodziewaną frajdę zrobiła mi ta płyta. Godna polecenia wszystkim, którym nie straszne skóra, dżins, długie włosy i mocne alkohole. [jms]

#postpunk #gitara #joy division

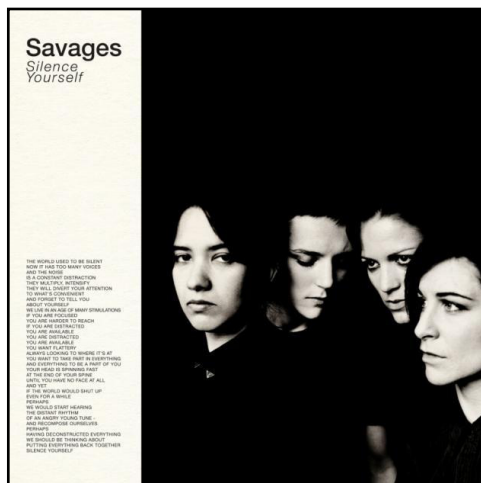
Savages

Silience Yourself

Po bardzo obiecującym singlu ***Husbands*** Savages wypuszczają długogrający album, na który czekało wielu. Jakie to miłe uczucie, kiedy jakiś zespół nie zawodzi pokładanych w nim oczekiwań.

Silience Yourself to bezpośredni cios prosto między oczy, który ogłusza na długie godziny i pozostawia nas w stanie przyjemnej nieświadomości. Nie powinno to nikogo dziwić, Londyńczycy uczyli się od mistrzów wagi ciężkiej. The Cure, Siouxsie & The Banshees czy The Stranglers – to tylko niektórzy z ich mentalnych nauczycieli.

Co najważniejsze, zespół wskrzesza ducha post-punku z niesłychanie



przekonującą siłą i energią. Dawno nie słyszałem tak dobrej gatunkowej płyty. Niezwykle łatwo przychodzi zaklimatyzowanie się w tej melancholijnej i zarazem nieco nerwowej aurze. Bez dwóch zdań jest to bardzo udany debiut, którego inne młode zespoły mogą Savages tylko pozazdrościć. [kd]

#metal #djent #terazpolska

Animations

Private Ghetto

Animations to kapela z rodzimego Jaworzna. Aż troszkę się dziwię, że zespół tego pokroju nie jeździ po kraju w tę i z powrotem z trasami koncertowymi, ale to przecież nie pierwszy i zapewne nie ostatni taki przypadek.

W przypadku **Private Ghetto** mamy do czynienia z ciekawym połączeniem mocnych, niemal djentowych momentów z częstymi melodyjnymi fragmentami. Na tym można by zakończyć charakterystykę muzyki proponowanej przez Animations, gdyby nie fakt, że w tej prostej definicji grupa zmieściła cały katalog fajnych rozwiązań i patentów, które świadczą o sporym talencie i kreatywności zespołu. Skoro już wspomniałem o głównych składowych, to muszę też przybić piątkę wokaliście, bo w polskiej muzyce nieczęsto się zdarza, żeby melodyjne wokale śpiewane po angielsku nie odpychały plastikowym brzmieniem języka. A tutaj proszę – brzmi fajnie! Nie dość, że dobre melodie, to akcent też mięciutki.

Nie gorzej prezentuje się pozostała część grupy. Słychać sporo dość charakterystycznych, ciętych riffów. Tu i ówdzie pojawiają ciekawsze zagrywki gitarowe i solówki. Nie zabrakło też



elektroniki, ale nie nachalnej, tylko wyważonej i ustępującej pierwszeństwa gitarom oraz sekcji rytmicznej. Na **Private Ghetto** brzmienia elektroniczne często sprowadzają się do roli wypełniacza, troszkę na tej samej zasadzie jak w Daath albo w Chimairze – dodają jedynie lekko industrialnego klimatu, nie wpływając zbyt mocno na kształt kompozycji. Tutaj rządzi melodia (czyste wokale stosowane bez kompleksów – to też rzadkość), mocny riff i kilka dobrze zaaranżowanych **breakdownów**. Warto mieć Animations na oku. Na dodatek płytkę w wersji cyfrowej można dostać w sieci na bandcampie, do czego gorąco zachęcam. [jm]

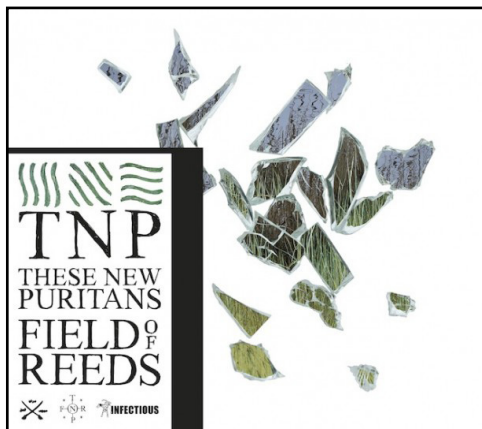
#postpunk #uk

These New Puritans

Fields Of Reeds

Wielbicie post-punkowej sceny nie mogą ostatnio narzekać na brak dobrych longplayów. Pisaliśmy już o nowym, rewelacyjnym krążku Savages. Teraz swoje trzy grosze dorzucają These New Puritans. Tyle, że przysłowiowe trzy grosze są warte w tym przypadku o wiele więcej. **Fields Of Reeds** to już trzeci album w dorobku tego zespołu. Przynosi on także kilka zmian w ich brzmieniu.

Po pierwsze usłyszymy tutaj sekcje smyczkowe, instrumenty dęte drewniane, chór dziecięcy i piosenkarkę jazzową – Elisę Rodriguez. To prawdziwy urodzaj dźwięków i przeplatających się ciepłych i zimnych muzycznych barw. Prawdziwy miszmasz. Mimo dość spokojnego oblicza płyty, zespół pozwala sobie także na bardziej dynamiczne gitarowe granie okraszone elektro-



nicznymi wtrętami. Całości słucha się naprawdę przyjemnie.

Frontman These New Puritans, Jack Barnett, tak komentuje nową płytę: „Muzyka mówi sama za siebie bardziej niż kiedykolwiek przedtem”. Podpisuję się pod tym stwierdzeniem. [kd]

#jungle #drum'n'bass #dub

Congo Natty

Jungle Revolution

Co za niespodzianka! Michael West vel Rebel MC vel Congo Natty, producent, toaster i legenda jungle powraca do gry z premierowym materiałem – pierwszym od 2005 roku. West, aktywny na scenie od wczesnych lat 80., zaczynał od hip-hopu, by w następnej dekadzie poświęcić się drum'n'bassowi. Ten gatunek najlepsze lata ma już za sobą, ustąpiwszy miejsca na parkietach najpierw UK garage, a następnie dubstepowi. Natty najwyraźniej nic sobie z tego nie robi, bo ***Jungle Revolution*** brzmi niczym zaginiony artefakt ze złotego okresu gorączki jungle. Poza utrzymanymi w spokojniejszym tempie połamańcami (jazzujący ***Jungle Souljah***) i szybszymi parkietowymi tłuszciochami (***UK All Stars*** z udziałem takich tuzów gatunku jak General Levy i Top Cat) znalazło się tu również miejsce dla przedziwnej hybrydy jungle i rapu (***Microchip (Say No)***) oraz nowoczesnego dubu, który na dobrym sprzęcie robi prawdziwe łubu dubu (singlowy ***Revolution***). Jedyny element na wskroś współczesny to wobble w ***London Dungeons***. Całość należycie skrzy się rasta-fariańskim duchem i pachnie zieleń jak się patrzy. ***Jungle is still massive.*** [mk]



#indie #alternatywa #rock

Editors

The Weight Of Your Love

Na swoim najnowszym dziele Editors robią zdecydowany zwrot w tył i porzucają zabawę elektroniką, którą zaprezentowali światu na ***In This Light and On This Evening*** z 2009 roku. Zespół stara się odnaleźć to, co posiadał na samym początku swojej drogi – pomysły na dobre piosenki.

W kilku przypadkach starania te są owocne. Najlepsze tego przykłady to posępny ***The Weight***, ballada ***Nothing*** oraz gitarowy popis ***Hyeny***, nagrany w stylu pierwszej płyty zespołu. W brzmieniu Editors nadal króluje specyficzny melancholijny klimat, który teraz rysowany jest przy użyciu prostych środków. Słysząc bliskie echa R.E.M, U2 czy Joy Division. W oddali pobrzmiewa także Interpol i INXS. Szkoda tylko, że album jest dość nierówny i pojawiają się na nim wtopy-zapychacze. Doceniam za to starania do powrotu formy sprzed lat. Może następnym razem uda się to w pełni? [kd]

#metalcore #screamo #post-hardcore

We Came As Romans

Tracking Back Roots

**

Sporo dobrego naopowiadali mi znajomi o We Came As Romans. Były to same kłamstwa.

Tracking Back Roots na dobrą sprawę jest podręcznikowym przykładem, jak w morzu przeciętności i kopiowania utopić kilka ciekawych pomysłów. Coś takiego nie świadczy dobrze o zespole.



O ile album zaczyna się całkiem znośnie – tytułowy numer oparty został na mocnym brzmieniu w stylu groove – tak już po 150 sekundach mam ochotę wyłączyć odtwarzacz. Groove gdzieś ginie, riff przestaje istnieć, a na jego miejscu pojawiają się jakieś zaśpiewy wykonane głosem nastolatka, który nie przeszedł jeszcze mutacji. Pod względem instrumentalnym **Tracking Back Roots** mogłoby się obronić, ale wywalone na sam wierzch ścieżki wokalne z banalnymi melodyjkami i kompletnie niepotrzebne elektroniczne wstawki doprowadzają kolejne piosenki do stanu, w którym ich słuchacz zaczyna zalewać się łzami. A że chłopaki nie płaczą, to raczej po prostu wcisną „stop”. [jm]

#ambient #house #techno

John Roberts

Fences

Na wydanym trzy lata temu albumie **Glass Eights** amerykański producent złożył hołd gigantom muzyki house. Tym razem – zainspirowany podróżami po świecie, które odbył jako współpracownik czasopisma podróżniczego – koncentruje się na mariażu elektroniki z world music. Etniczne wtręty na **Fences** mają różne źródła geograficzne, ale najwyraźniej słychać wpływy azjatyckie. Orientalny posmak utworów takich jak **Shoes** czy **Braids** przywołuje na myśl dokonania japońskich tuzów elektroniki – Yellow Magic Orchestra i Susumu Yokota. Z kolei bogactwo egzotycznych brzmień i oniryczna atmosfera niosą echa dokonań Pantha Du Prince – kolegi Roberta z wytwórni Dial. Nie zabrakło również nagrań terenowych,



m.in. dźwięków ulicznej parady w Tokio, odgłosów sauny w Kioto i szumu fal na Morzu Śródziemnym. Całość jest subtelna oraz wyważona, a także trochę nostalgiczna. Jest to tęsknota z rodzaju tych słodko-gorzkich, które towarzyszą – całkiem adekwatnie – wspomnieniom z podróży. Ten **trip** ma tylko jedną wadę – kończy się po zaledwie 37 minutach. [mk]

#ambient #idm #techno

The Black Dog

Tranklements

Ken Downie oraz bracia Martin i Richard Dust mają taki staż, że powoli przechodzą w jaszczurzy etap ewolucji, mutując w ludzkie dinozaury. Jako The Black Dog działają od blisko ćwierćwiecza i są absolutnymi pionierami nowych brzmień. Wydając klasyczne płyty **Bytes** (1993) i **Spanners** (1995), grupa zawiesiła sobie poprzeczkę tak wysoko, że przeskoczyć ją udało się tylko raz – osiem lat temu albumem **Silenced** (blisko było też na **Music For Real Airports** z 2010). Najnowszy album tria nie sięga nawet połowy tej wysokości. Pod względem producenckim nadal jest to pierwsza liga elektroniki, ale najlepsze nawet aranżacje nie uratują przeciętnych, szablonowych kompozycji. Być może jest to kwestia ograniczeń wynikających z konwencji – szeroko pojętego techno, house, electro, braindance itd. Z rytmemi cztery na cztery zespół radził sobie do tej pory całkiem dobrze, czego dowodem był choćby album **Radio Scarecrow** z 2008 roku. **Tranklements** tylko chwilami zdradza przebłyśki dawnych triumfów, częściej zaś nuży zaskakująco bezbarwną, ste-



rylną i mechaniczną muzyką. W tym kontekście tytuł płyty – oznaczający tyle, co bibeloty czy szpargały – zakrawa na niezamierzoną ironię. [mk]

#uk garage #jungle #ambient

Zomby

With Love

Zamaskowany, nieznany z nazwiska kontrowersyjny brytyjski producent zdobył rozgłos przed pięcioma laty wraz z debiutanckim albumem **Where Were U In '92?**, na którym z powodzeniem odświeżył taneczne brzmienia przełomu lat 80. i 90. Na drugiej płycie, **Dedication** z 2011 roku, zaprezentował się z innej, mroczniejszej strony. Najnowszy, trzeci longplay Zomby'ego stanowi niejako syntezę swoich poprzedników. **With Love** podzielono na dwie płyty-części, których odsłuch przypomina lekcję historii brytyjskiej elektroniki zarówno tanecznej (część pierwsza), jak i eksperymentalnej (część druga). Z jednej więc strony mamy jungle, UK garage, techno i rave, z drugiej zaś abstract hip hop, ambient i post-dubstep – wszystko skondensowane do 33 utworów. Ten list miłosny do przeszłości jest pełen powtarzających się fraz i ledwo muśniętych zarysów kompozycji, które urywają się nagle i bez zapowiedzi. Budzi to mieszane uczucia i pozostawia niedosyt, choć kiedy Zomby wspina się na wyżyny posępnej atmosfery, tak jak w finalnym, tytułowym utworze, rezultat jest świetny. Zgodnie ze słowami samego autora, **With Love** brzmi jak „sytuacja, w której ktoś zabiera mnie do ciemnego pokoju i podpala moją duszę”. Nic dodać, nic ująć. [mk]



Tajemnica tożsamości Buriala

Gdyby spytać pierwszego lepszego wielbiciela nowych brzmień, kto jest autorem płyt zatytułowanych **Burial** i **Untrue**, odpowiedź nie będzie zaskakująca: „Burial, któżby inny?!”. Tak, tylko kto to właściwie jest Burial?

Pierwsza bomba wybuchła w 2006 roku, kiedy ukazał się debiutancki album producenta posługującego się cmentarnym aliasem (dzielonym z kanadyjskim zespołem deathmetalowym). Krytyka padła na kolana, tak jak i publika. Kto to jest? **Gdzie jest?** » Skąd się wziął? Czy dokarmia koty w piwnicach? I jakim cudem stworzył tak doskonałą, świeżą i unikalną muzykę? Burial nie zamierzał odpowiadać na żadne z tych pytań. Konsekwentnie utrzymywał w tajem-

nicy swoje personalia i wygląd, nie koncertował, zaś liczbę wywiadów, których udzielił, można policzyć na palcach jednej ręki pijanego drwala. Wywodząca się z kultury rave i jungle taktyka anonimowości spowodowała lawinę domysłów na temat tożsamości enigmatycznego twórcy. Czy to Aphex Twin, czy Fatboy Slim? Four Tet, Thom Yorke? A może Jodie Foster?

Druga bomba eksplodowała dwa lata później. W lutym 2008 brytyjski The Independent podał, że Burial to



Burial





Burial/Will Bevan:

„Nigdzie nie ma takich kałuż, jak w Londynie”

William Emmanuel Bevan – skromny, około 30-letni Londyńczyk o cechach everymana (stosunek do zwierząt nadal pozostawał niewiadomą). Pół roku później, 5 sierpnia, sam zainteresowany potwierdził te rewelacje, **publikując w serwisie MySpace swoje zdjęcie** » i krótką wiadomość: „Od jakiegoś czasu mówi się o tym, kim jestem, ale to nie ma zbyt dużego znaczenia. Chciałem pozostać anonimowy, bo najważniejsze są moje kawałki. Ostatnio to, że jestem nieznany, stało się dla wielu ludzi istotną kwestią i już mi się to nie podoba. Jestem skrytą osobą i chcę po prostu robić muzykę, nic więcej. Nazywam się Will Bevan, pochodzę z połu-

dniowego Londynu, nie wychylam się i chcę po prostu skończyć następny album. (...) Pozdrawiam wszystkich, trzymajcie się. Will (Burial)”.

Kiedy już się ujawnił, znalazł wsparcie u Kierana Hebdena vel Four Teta i Joe Goddarda z Hot Chip, którzy potwierdzili, że Will Bevan chodził z nimi do londyńskiej Elliott School. Steve Goodman vel Kode9 i radiowa promotorka Mary Anne Hobbs również ręczyli za tożsamość producenta. Ta druga pozowała nawet do **zdjęcia z gwiazdami dubstepu** », wśród których rzekomo znalazł się Burial. Nie wszystkich to przekonało – blog **Burial Is Four Tet** » (BIFT) został założony





Four Tet:

„Czy ja mam podwójne życie?”



Aphex Twin/Richard D. James:

“Nie, nie mam problemów z tożsamością. Skąd to pytanie?”

w 2011 roku, a więc trzy lata po tym swoistym **coming out** Bevana. Autor owego bloga gromadzi „dowody” na zawartą w nazwie hipotezę. Przykłady: po wpisaniu w Google frazy „William Bevan” jeden z wyników ukazuje link do **firmy pogrzebowej** », co miało być czarnym dowcipem; Burial wydał także kilka płyt w należącej do Hebdena wytwórni Text, itd.

Działalność BIFT nie uszła uwadze jednego z zainteresowanych (albo obydwu – w zależności od tego, w co się wierzy). W grudniu 2012 roku na Twitterze Four Teta pojawił się pozbawiony jakiegokolwiek komentarza nagi link do BIFT. Reakcja autora bloga była natychmiastowa: „To tylko komplikuje sytuację. (...) Dlaczego Four Tet opublikował link do strony z hipotezami na temat tożsamości Buriala? Jedna



z możliwości mówi o tym, że zrobił to dla hecy, żeby zakpić z takiego pomysłu. Z drugiej strony może chciał on wskazać na coś pozornie niedorzecznego, aby ukryć prawdę. Tak czy inaczej, nadal brakuje nam ostatecznego dowodu na to, że Burial nie jest Four Tetem". Najwyraźniej autorowi bloga obca jest obowiązująca w logice reguła ciężaru dowodu, która głosi, że obowiązek udowodnienia hipotezy spoczywa na tym, kto ją stawia.

Tego typu teorie spiskowe stały się z czasem źródłem rozlicznych parodii i prowokacji zarówno ze strony muzyków, jak i prasy. Oto na oficjalnej stronie Radiohead widnieje **zdjęcie Thoma Yorke'a i Kierana Hebdena** » z podpisem: „Thom «Eraser» Yorke przedstawia Kierana «Burial» Hebdena". W czerwcu 2013 roku na łamach magazynu Equalizer ukazał się **artykuł pt.: Four Tet potwierdza, że jest Burialem** » uzupełniony zrzutem ekranu – rzekomo z facebookowego profilu Four Teta – gdzie Hebden miał napisać: „I am burial". Artykuł błyskawicznie rozprzestrzenił się po sieci. Całość okazała się kaczką dziennikarską, która została zdementowana przez samego Hebdena. Kpiąc z pogłosek, portal The Daily Mash doniósł, że **Burial to tak naprawdę J.K. Rowling** », autorka serii o Harrym Potterze (zapewne w nawiązaniu do informacji o tym, że pisarka **wydała kryminał pod pseudonimem** »).

Przeciętny słuchacz już dawno stracił rozeznanie, czy to Burial jest Four Tetem, czy Four Tet Burialem, czy może jest jeszcze inaczej. Pojawiają się także inne wątpliwości. Jeśli utwory Buriala nagrał Four Tet, to kto nagrał

utwory Four Teta? Możliwości są wszak nieograniczone. Niektórzy wskazują na Richarda D. Jamesa, znanego bardziej jako Aphex Twin i prawdopodobnie także jako The Tuss (a może też jest wibrafonistą Tercetu Egzotycznego). To śmiały świntuch, zdeklarowany profan i notoryczny kłamca. Do tego wielbiciel psychodelików wykazujący osobowość mnogą, fachowo zwaną zaburzeniami osobowości dysocjacyjnej, potocznie zaś rozdwojeniem jaźni. Wydaje się jednak, że to za mało.

Oczywiście Richarda Jamesa nie należy mylić z Jamesem Blake'em, w którym wielu widzi kontynuatora burialowego brzmienia. On jest Jamesem Blake'em. James Blake nim nie jest. James Blake jest tak naprawdę obydwoma członkami Daft Punk. Ci z kolei to tak naprawdę The Avalanches – jednoosobowy projekt Jhonna Balance'a z Coila, który – żeby brzmieć bardziej wiarygodnie – swój naszpikowany kilkoma tysiącami sampli album ***Since I Left You*** z 2000 roku nagrał pod aliasem siedmiu czy ośmiu australijskich surferów. Prace nad drugim krążkiem The Avalanches przeciągają się już od ponad 13 lat, głównie z powodu śmierci Balance'a w 2004 roku. Jego zatem również można skreślić z listy podejrzanych, podobnie jak Fatboy Slima, za kandydaturą którego nie przemawia absolutnie nic.

Najbardziej wiarygodna wersja głosi, że Burial to David Lynch. Przyjrzyjmy się jej. Reżyser wielokrotnie poruszał motyw doppelgängera w swoich filmach. Jest także muzykiem z kilkoma albumami na koncie, co tylko uwiarygodnia naszą hipotezę, podobnie jak fakt, że Burial samplował w swojej





David Lynch:

*„Dopale i wracam do sypialni
dokończyć piosenkę”*

muzyce fragment jego (swojego) filmu **Inland Empire**. Ten film to źródło wielu cennych tropów. Wszedł do kin w 2006 roku, a więc w tym samym czasie, co debiutancki longplay Buriala, i opowiada o kryzysie tożsamości. Niewykluczone, że Lynch ukazał tu całą sytuację z Burialem (sobą) w typowy dla siebie (Buriala), groteskowy sposób. Laura Dern kreuje podwójną rolę Nikki Grace i Sue Blue (z liter obydwu nazwisk można z łatwością ułożyć pseudonim autora **Untrue**), Justin Theroux podobnie – gra Devona Berka i Billy’ego Side’a (Devon brzmi prawie jak Bevan, a Bill to wszak zdrobnienie od Williama!). Ogólny wniosek jest taki, że wszyscy wiedzą tylko jedno – że nic nie wiedzą. Jak w życiu, czyż nie?

Drugie imię Bevana, Emmanuel, to już wyraźny hołd dla Emanuela Schifgenssa, guru sekty religijnej, z którą związany jest Lynch (nawiasem mówiąc, William Emmanuel Bevan, rocz-

nik 1979, to właściciel i muzyk jednoosobowej firmy artystycznej **Insular Limited** » w południowym Londynie, ale to pewnie kolejny fałszywy trop reżysera, muzyka, czy kim on tam jest do stu diabłów!). Pewną poszlaką jest też to, że aż dwa utwory Buriala mają w tytułach słowo „dog” (pies) – **Dog Shelter** i **Stolen Dog**. Lynch jest z kolei autorem komiksu **The Angriest Dog in the World**, co trudno uznać za przypadek. Wystarczy zresztą odtworzyć **Stolen Dog** od tyłu, siedząc w kucki na kostropatym kamieniu w noc świętojańską i hipnotycznie przy tym pomrukując, by wyraźnie usłyszeć głos krzyczący: „Ludzie, to ja, David Lynch! Czy to wystarczająco dziwne?”.

Całkowite milczenie Lyncha na ten temat i pozorny brak jakiegokolwiek związku między nim a Burialem, to również są symptomy znamienne, wszak najlepiej udawać całkowitą obojętność czy wręcz niewiedzę. A skoro nikt nie pyta... Ostatecznym dowodem na to, że Lynch jest Burialem – i być może na odwrót – jest wspomniany sampel z **Inland Empire**, wykorzystany w **utworze Untitled**: » „I show you light now, it burns forever” („Teraz pokażę ci światło, które płonie przez wieczność”). Jeśli uzmysłowimy sobie, że światło jest między innymi symbolem wiedzy, poznania i, rzecz jasna, oświecenia, to wszystko stanie się, nomen omen, bardzo jasne. Kto nie wierzy, niech pozostanie przy wersji o Willu Bevanie.

Maciej Kaczmarek

P.S. Tekst zainspirowany filmem **Room 237** Rodneya Aschera i miniaturami Rolanda Topora.

Dyzmatronik

r o z m o w a

Szuflady im nie pasują, jeśli jednak ktoś musi im jakąś metkę przypiąć, to stworzyli własną markę – „**trup-hop**”. Jest elektronicznie, ale z pazurem. Jest tu ambient i nuta nawiązująca do lat osiemdziesiątych. Coś z cold wave, minimal i z nienachalnego eksperymentu. A wszystko to niepozbawione elementów pastiszu i specyficznego poczucia humoru. Oto rozmowa z zespołem **Dyzmatronik**!



Określacie graną przez siebie muzykę jako „trup-hop”.

Artur Sosen Klimaszewski: Jest to oczywiście żartobliwe określenie. Wzięło się stąd, że łączymy w całość hip-hop z trip-hopem. Do tego niektóre nasze utwory mają strukturę ambientową, dość poważną, zalatującą trupem... ale skocznym trupem!

Szukacie managera, który zadba o koncerty i promocję. Zgłaszają się chętni? Macie już kogoś na oku?

A.S.K.: Obecnie prowadzimy rozmowy z dwoma osobami. Powiem ci, że znalezienie managera nie jest łatwym zadaniem. Szukamy kogoś świeżego, ambitnego, z fajnym spojrzeniem na muzykę, na to, co robimy i na branżę. Do tego musi mieć wtyki, żeby organizować nam koncerty.

Maciej Maciora Balcewicz: Nie chodzi nam o promotora, bo wydaje mi się, że sami sobie radzimy z tym tematem całkiem nieźle. Zależy nam przede



wszystkim na graniu jak największej liczby koncertów.

Jak doszło do Waszej współpracy? Wcześniej zajmowaliście się dość różnymi rzeczami. Artur tworzy muzykę do spektaklów, Maciej był aktywny na polu hip-hopowym.

A.S.K.: Poznali nas ze sobą znajomi. Nie pamiętamy już nawet kiedy, pewnie na jakiejś imprezie. Maciej zainteresował się moją muzyką, zaczął pytać o szczegóły i stwierdził, że można coś razem podzielać.

M.M.B.: Zawsze poszukiwałem nowych, niestandardowych rzeczy. Eksperymentowałem z muzyką już wcześniej. Napotoczył się Sosen, stwierdziłem, że fajnie gra i łącząc siły, możemy stworzyć naprawdę ciekawą, nieszablonową muzykę.

Muszę o to spytać. Skąd pochodzi nazwa Dyxmatronik i co oznacza? Czy ma ona coś wspólnego z legendarną postacią Nikodema Dyxmy?

A.S.K.: Nazwa zespołu składa się oczywiście z dwóch członów. Dyxma – wiadomo, odsyła nas do bohatera kultowego serialu. Podobnie jak Nikodem chcemy zrobić oszałamiającą, superszybką karierę! A tak na serio, to patrząc na otaczającą nas rzeczywistość, widzimy dużo postaci tego pokroju wokół siebie, co nas śmieszy i martwi jednocześnie. Tronik – to odwołanie do lat 80. i muzyki elektronicznej, która wtedy królowała, a do której nawiązujemy swoim brzmieniem.

W waszej twórczości można wyczuć sporo autoironii i dystansu do świata. Nie boicie się, że przez to odbiorcy waszej

twórczości nie potraktują tego co robicie poważnie?

M.M.B.: Pewnie jest tak, jak mówisz. Ale nie zastanawiamy się nad tym zbyt wiele. Po prostu robimy to, co czujemy. Brzmi to banalnie, ale tak właśnie jest. Nie podkładamy się pod odbiorcę, nie myślimy o tym, jak zrobić mu dobrze za wszelką cenę. Z drugiej strony wydaje mi się, że brakuje w Polsce artystów, którzy mają dystans do siebie, do tego, co robią, i do świata. Warto też pamiętać o tym, że pod warstwą humoru kryje się tutaj głębszy przekaz.

W lutym 2013 ukazała się wasza debiutancka płyta. Czy myślicie już powoli o nagrywaniu kolejnej?

M.M.B.: Działamy bardzo powoli, bez zbędnej spiny. Rzeczywiście powoli rodzi się coś nowego, ale na razie są to raczej luźne pomysły, szkice utworów. Jednak kolejna płyta na pewno się ukaze – to tylko kwestia czasu.

Zbieracie bardzo dobre recenzje w mediach. Czy przekłada się to w jakiś sposób na waszą popularność?

A.S.K.: Wydaje mi się, że rzeczywiście ma to jakiś wpływ na naszą rozpoznawalność. Powstało dość dużo mediów elektronicznych, ludzie tam często zaglądają, sprawdzają, co ciekawego dzieje się w muzyce. Ma to swoje plusy i minusy. Z jednej strony mamy dostęp niemal do wszystkich zespołów na świecie, z drugiej strony ta powódź muzyki i informacji po prostu zabija. Łatwo się w tym pogubić. Przez łatwy dostęp muzyka traci na znaczeniu, nie docenia się jej tak, jak kiedyś.



Przed wydaniem płyty dość mocno wykorzystywaliście internet do autopromocji. Na Youtube ukazywały się regularnie nowe teledyski. Jak to w końcu jest, czy internet stwarza więcej szans dla artystów, czy więcej zagrożeń?

A.S.K.: Trzeba umieć odnaleźć się w tej nowej rzeczywistości. Zagrożeniem jest na pewno obojętność. Nie chodzi mi o nielegalne ściąganie muzyki, ale właśnie o jej powszechność. Tak jak mówiłem, wszystko możemy mieć na wyciągnięcie ręki, przez co muzyka traci swój power, jest mniej interesująca. Można łatwo się zniechęcić. Ale pamiętajmy też, że świat internetu oferuje niepowtarzalne szanse dla wielu zespołów. Wystarczy pomyśleć, ile kapel wypromowało się dzięki Sieci.

W tekstach dość barwnie portretujecie obraz swoich rówieśników. Lubicie

w ogóle swoje pokolenie? Jak można je pokrótce scharakteryzować?

A.S.K.: Ludzie z naszego pokolenia to już stare byki. Ostatnio spotkałem w parku kumpli z dawnych lat, którzy byli tam z praktycznie dorosłymi już dziećmi. Okazało się, że np. nie słuchają już muzyki i w ogóle się tym tematem nie interesują. Widać, że jest to pokolenie schodzące, którego czas już minął.

M.M.B.: Patrząc na osoby w moim wieku, jestem lekko przerażony. Nie chcę skończyć z piwem na kanapie przed telewizorem. Nie czuję się częścią mojego pokolenia. Zresztą oboje zawsze staliśmy nieco z boku i tak jest też teraz. Z dystansu obserwujemy i młodych, i starych. To jest zdrowe podejsie, polecam każdemu.

Rozmawiał: Kamil Downarowicz

PREMIERY *filmowe*

#science fiction #mecha #kaijū

reż. **Guillermo del Toro**

Pacific Rim

Fanom anime nowy film del Toro powinien skojarzyć się z paroma tytułami, m.in. z **Neon Genesis Evangelion**, **Macross** czy serią **Gundam**. Japończycy pozostają mistrzami w pokazywaniu starć między mechami a różnymi stworami z kosmosu. Należy też zapamiętać, że mecha to co innego niż robot – te są sterowane zdalnie, podczas gdy mecha to humanoidalna maszyna bojowa sterowana przez pilota znajdującego się w jej wnętrzu.

Oprócz tych jednoznacznych skojarzeń film del Toro to czysta wizualnie zabawa w kino. Fabuła jest raczej prosta i skupia się na efektownych naparankach mechów i kaijū, podczas których zrównywanie z ziemią są całe metropolie. Bohaterowie reprezentują uproszczone postawy, ale są na tyle dobrze zagrani, że kibicujemy im, kiedy nie poddają się porażkom i walczą dla ludzkości. Dodatkowo do takich patetycznych scen jest muzyka Ramina Djawadi (autora ścieżki do dźwiękowej **Gry o tron**), która idealnie się z nimi komponuje.



#obyczajowość #ekranizacja

reż. Anne Fontaine

Idealne matki

Oparty na noweli Doris Lessing nowy film reżyserki **Coco Chanel** to opowieść o miłości między dwiema pięknymi kobietami w średnim wieku oraz między nimi a ich prawie dorosłymi synami. Jedna z bohaterek znudzona małżeństwem podrywa syna swej przyjaciółki. Ta z kolei, na zasadzie wymiany, zaprasza do łóżka jej syna.

Historia w zasadzie bardzo współczesna. Niegdyś mieszczańska mentalność ubrałaby ją w moralne dylematy i dramatyczne zakończenie. Teraz kobieta ma swoje prawa i może flirtować z młodszym mężczyzną, czerpiąc z tego przyjemność. W idyllicznej scenerii australijskiego wybrzeża romans tych czworga osób jest oczywistością.

Jedynym minusem filmu jest reżyseria Anne Fontaine, drewniana i wypychająca aktorstwo w utarte schematy.

#akcja #adrenalina #komedia

reż. Roland Emmerich

Świat w płomieniach

**

Skojarzenia z **Olimpem w ogniu**, akcyjniakiem sprzed kilku miesięcy, nasuwać się same. Atak na Białą Dom (niech polski tytuł **Świat w płomieniach** nikogo nie zwiedzie) i samotny bohater ratujący prezydenta oraz resztę kraju. Nie obeszło się bez spektakularnego zniszczenia siedziby przywódcy USA, kilku innych budynków, całej masy zestrzelonych helikopterów oraz wybuchających czołgów.



Cała akcja zawarta w filmie nie jest w stanie przesłonić miałkości scenariusza. Nie ratuje go także duet aktorski Channing Tatum i Jamie Foxx. Choć trzeba przyznać, ten drugi ma swoje momenty.

W porównaniu z innym propozycjami kinowymi **Świat...** na pewno nie jest to film typu **must see**. Spokojnie można poczekać, aż pojawi się w ramówce telewizyjnej, podobnie jak inne filmy Emmericha.

#surrealizm #romans #dramat #ekranizacja

reż. **Michel Gondry**

Dziewczyna z lilią

Estetyka, jaką posługuje się Gondry, jest bardzo specyficzna. **Zakochany bez pamięci** i **Jak we śnie** to jego sztandarowe dzieła, wobec których nie sposób przejść obojętnie. Dla jednych jest to kwintesencja filmowej zabawy, dla innych rzecz nie do przełknięcia. Nie inaczej jest w przypadku **Dziewczyny z lilią**. Od zabawnych i uroczych scenografii można dostać oczopląsu. Jednak nie są to tylko durnostojki, ale metafory bańki społecznej, w jakiej żyją bohaterowie. Dopiero choroba zmienia ich egzystencję.

Francuski reżyser porusza tyle ciekawych tematów, że nie sposób o nich wspomnieć w krótkiej recenzji. Warto jednak nadmienić, że już sama obsada zachęca do zapoznania się z jego dziełem. Audrey Tautou, Romain Duris, Omar Sy czy Gad Elmaleh – te nazwiska na jednym ekranie gwarantują dobre widowisko.



#romans #obyczajowość

reż. **Richard Linklater**

Przed północą

Przed północą to kontynuacja filmów **Przed wschodem słońca** i **Przed zachodem słońca**. Para bohaterów, Jessie i Celine, najpierw spotkali się w Wiedniu, a 10 lat później spędzili trochę czasu w Paryżu. Teraz wybrali Grecję, gdzie wybrali się wraz z córkami. Wciąż są w sobie zakochani, jednak wspólnie spędzone lata dodały ich związkowi odrobiny melancholii. Nie ogranicza ich już czas – do odjazdu pociągu czy odlotu samolotu. Tym razem zostali uwikłani w relacje społeczne. Dzieci wymagają czasu i uwagi, tak samo przyjaciele. Reżyser pogłębił ich więź, umieścił w kontekście, ale nie pozbawił lekkości dobrze znanej z dwóch wcześniejszych części. Zapewne jest to zasługa dwójki aktorów, między którymi wyczuwa się tę specyficzną chemię, która sprawia, że wierzy się ich kreacjom.

#heist movie #sensacja #akcja.

reż. **Louis Leterrier**

Iluzja

Reżyser **Iluzji** postanowił pójść w ślady twórców **Oceans Eleven** i zebrał na planie śmietankę aktorskich wyjadaczy oraz młode pokolenie szturmujące Hollywood. Napakował fabułę tajemnicami i sztuczkami opartymi na technologii. Doprawił to ogromną porcją akcji. Nie zostawił miejsca na przestoje czy zbędne analizy, chociaż pewne rozwiązania mogą wydawać się naiwne.



Iluzję można zaliczyć do typowych wakacyjnych blockbustów – przyciągnie do kina miłośników sensacji w rodzaju **Prestiżu**, ale nie zapisze się na stałe w pamięci widzów. Jak mówi jeden z bohaterów filmu grany przez Morgana Freemana: „Im bliżej jesteśmy tego widowiska, tym mniej widzimy”.

#western #akcja #przygoda

reż. Gore Verbinski

Jeździec znikąd

Aby wyciągnąć jak najwięcej z kultowej już w Stanach Zjednoczonych historii o Samotnym Jeźdźcu, Verbinski postanowił zatrudnić Johnniego Deppa. I choć ten gra tutaj oszczędniej niż w **Piratach**, to jego rola nie ratuje tego filmu.

Trudno jednoznacznie określić, czy obraz ten jest dobry, czy zły. Z momentami humorystycznymi z pogranicza slapsticku i groteski (koń stojący na drzewie) sąsiadują dość dramatyczne sceny rzezi Indian. Ta niejasność sprawia, że nie wiadomo jak do końca traktować **Jeźdźcę znikąd**.

Jasnymi stronami filmu są z pewnością efekty specjalne oraz rola Heleny Bonham Carter, która nie wychodzi poza swoje emploi, ale nadal jest ujmująco ekscentryczna.

#zombie movie #thriller #adaptacja

reż. Marc Forster

World War Z

Zombie urasta niemal do postaci równorzędnej wampirom i wilkołakom. Występowały już w horrorach, komediach i romansach. Nadszedł czas na kino (prawie) familijne.



Brad Pitt i jego rodzina uciekają przed hordami zombie. Tak się składa, że jako byłemu funkcjonariuszowi ONZ Pittowi przysługuje helikopter ratunkowy, więc udaje im się wydostać ze strefy zagrożenia. Jednak nie dane im będzie cieszyć się bezpieczeństwem – Pitt wyrusza z misją odnalezienia źródła zakażenia.

Film Forstera został luźno oparty na powieści Maxa Brooksa, jednak w budowie bliżej mu do gry komputerowej. Kolejne etapy misji, zmienne lokacje, spotkania z osobami, które coś mogą wiedzieć. W międzyczasie mamy widowiska na gromady zombiaków szturmujące bastiony cywilizacji. Film ma PG-13, więc brak mu pazura, ale nadal plasuje się w gronie niezłych thrillerów.

#czarno-biały #obyczajowość #Nowy Jork

reż. Noah Baumbach

Frances Ha

Frances jest taka jak większość osób, która skończyła (albo i nie) studia i planuje swoją przyszłość. Ma pasję, jest czytana, spędza czas ze znajomymi, ale jakoś nie może się ogarnąć i zabrać za „prawdziwe życie”. Zapytana, co robi, odpowiada, że to skomplikowane. Na ile? Na tyle, że ona sama tego do końca nie wie.

Czarno-biały film w reżyserii Baumbacha jest minimalistyczną perełką o życiu, przyjaźni, i innych zwykłych głupstewkach. Nie ma w nim wielkich prawd, wielkiej miłości ani wielkich namiętności. Jest za to doskonała ścieżka dźwiękowa okraszona piosenkami Davida Bowiego, świetna gra Greta Gerwiga i zdjęcia Nowego Jorku jak z *Manhattanu* Woody'ego Allena.

Opracowała: Karolina Joisan

Skala ocen:

God must have been a fuckin' genius

I just met a wonderful new man.
He's fictional but you can't have everything

My mum always said,
life is like a box of chocolates

I love you, honey bunny!

May the Force be with you

Too weird to live, and too rare to die

Coco Jumbo i do przodu

Huston, we've got a problem

**

Ja tu widzę niezły burdel

*

Albercik! Wychodzimy!



Alfabet De Niro

Rok 2013 to dla niego pięćdziesięciolecie pracy artystycznej i siedemdziesiąte urodziny (17 sierpnia). Z tej okazji – **Robert De Niro** od A do Z.

A Admiral, Virginia (1915–2000). Malarka i poetka. Matka aktora. Ojcem był Robert De Niro Senior (1922–1993), malarz-abstrakcjonista. De Niro urodził się w nowojorskiej dzielnicy Greenwich Village. Ma korzenie włosko-irlandz-

kie po mieczu i niemiecko-francusko-holenderskie po kądzieli. Przez dom rodzinny przewijały się takie postacie jak Henry Miller i Tennessee Williams. Rodzice małego Bobby'ego rozwiedli się, gdy ten miał trzy lata. Zamiesz-



Robert De Niro



kał z matką, ale spędzał dużo czasu z ojcem, którego pamięci poświęcił swój debiut reżyserski – **Prawo Bronxu** z 1993 roku (po raz drugi za kamerą stanął trzynaście lat później, reżyserując **Dobrego agenta**).

Bobby Milk. Pseudonim z czasów młodości. Wziął się od białego jak mleko koloru skóry. Kid Monroe to z kolei przydomek wymyślony przez Roberta Mitchuma. Legenda głosi, że wśród hollywoodzkich szoferów limuzyn De Niro jest znany jako No Dinero z powodu niezwykle skromnych napiwków.

Czarnoksiężnik z Krainy Oz. Pierwsza sceniczna rola De Niro. Jako dziecięciolatek zagrał Tchórzliwego Lwa w szkolnej adaptacji książki L. Franka Bauma. Przyszły aktor już w wieku dziecięcym uwielbiał czytać dramaty i sztuki. Ostateczną decyzję o aktorstwie podjął skończywszy szesnasty rok życia. Rzucił wtedy szkołę i zapisał się na lekcje gry do konserwatorium Stelli Adler i słynnego Actors Studio Lee Strasberga.

Debiut filmowy De Niro to drugoplanowa rola w **The Wedding** Briana De Palmy. Zagrał Cecila, jednego z przyjaciół głównego bohatera (w tej roli Charles Pfluger). Film powstał w 1963 roku, ale swoją premierę miał dopiero 6 lat później, kiedy De Niro zaczął zyskiwać rozgłos dzięki kreacjom w off-Broadwayowskich przedstawieniach (w jednym z nich zagrał aż sześć postaci). Za swój pierwszy występ w filmie aktor dostał 50 dolarów. Dziś jego gaża sięga nawet 20 milionów.

Empire State of Mind. Utwór-ho! dla Nowego Jorku podpisany przez duet Jay-Z – AliciaKeys. W tekście pada wzmianka o De Niro, który wielokrotnie podkreślał przywiązanie do rodzinnego miasta. To nie pierwszy raz, gdy o nim zaśpiewano. Wcześniej uczynili to m.in. PJ Harvey (**Reeling**), ZZ Top (**Gun Love**) i Finley Quaye (**SundayShining**). W 1984 roku trzy dziewczyny z Bananarama nagrały nawet zadedykowany mu utwór **Robert De Niro's Waiting**, który stał się przebojem. Zaintrygowany aktor zaaranżował spotkanie z zespołem, ale członkinie grupy były tak zdenerwowane, że upiły się, zanim De Niro pojawił się w umówionym miejscu.



Bananarama

Robert De Niro's Waiting

Frankenstein. A właściwie monstrum Frankensteina, znany z powieści Mary Shelley sztuczny człowiek zszyty z martwych ciał i powołany do życia przez szalonego naukowca, który w swej arogancji chciał przewyciężyć śmierć. De Niro zagrał partię potwora w ekranizacji Kennetha Branagha z 1994 roku. Jak sam mówił, zainteresował go dramat postaci, która pod wpływem porzucenia przez „ojca” staje się zbrodniarzem i potępieńcem. Niestety, Branagh postawił na efekciarstwo, a nie na historię – w rezultacie powstał film płytki, wypełniony papierowymi postaciami. De Niro był z nich wszystkich najbardziej przekonujący. Dał sobie nałożyć tony charakterystyki i uważnie przestudiował zachowanie ofiar wylewów, żeby wiarygodnie oddać trudność w wysławianiu się. Budził jednocześnie



Robert De Niro w filmie: *Gorączka*

trwogę i litość. I pomyśleć, że w boju o rolę o mało nie przegrał z Gerardem Depardieu.

Gorączka. Film Michaela Mana z 1995 roku, określany mianem jednego z najdoskonalszych obrazów sensacyjnych wszech czasów. De Niro wystąpił jako Neil McCauley i stworzył przekonujący portret chłodnego przestępcy z zasadami, które ostatecznie prowadzą go do porażki (pod tym względem podobną postać stworzył w tym samym roku w filmie *Kasyno*, patrz: Rothstein, Sam). Stanowił znakomite uzupełnienie Ala Pacino, który z kolei wcielił się w lustrowane odbicie McCauley'a, policjanta Vincenta Hannę spalającego się dla swojego zawodu. Dla wielu McCauley to jedna z ostatnich wielkich ról De Niro, który z biegiem lat zaczął pojawiać się w coraz gorszych produk-

cjach – głównie w tanich sensacjach i prymitywnych komediach – szczyt żenady osiągając w serii zapoczątkowanej filmem *Poznaj mojego tatę* (2000). A przecież De Niro nie brak talentu komicznego, co udowodnił choćby w *Królu komedii* (1983), *Zdążyć przed północą* (1988) czy *Depresji gangstera* (1999). W tym kontekście *Gorączka* rzeczywiście pozostaje ostatnią wielką rolą De Niro w wybitnym filmie.

Hightower, Grace. Obecnażona De Niro. Aktorka i piosenkarka, znana bardziej z działalności charytatywnej niż z dokonań artystycznych. De Niro poznał ją w 1987 roku i poślubił 10 lat później. Mają dwójkę dzieci. Wcześniej przez 12 lat był związany z Diahnne Abbott, z którą również miał dwoje latorośli (w tym córkę Abbott, którą adoptował). Kolejna dwójka potomków

to owoc romansu z modelką Toukie-Smith. Ciekawostka – wszystkie trzy panie to Afroamerykanki.

Interesy. Drugą po aktorstwie pasję De Niro stanowi biznes. Jest współzałożycielem i współwłaścicielem ośrodka filmowego TriBeca i kilku restauracji w San Francisco, Los Angeles i Nowym Jorku (w wielu z nich na ścianach widnieją obrazy Roberta De Niro Seniora). Aktor angażuje się także w rozmaite akcje dobroczynne.

Jacknife. Film Davida Hugh Jonesa z 1989 roku. W Polsce znany z kaset video pod tytułem **Szalony Megs**. De Niro zagrał tytułową postać Josepha „Megsa” Megessey, nieprzystosowanego weterana wojny w Wietnamie, który zakochuje się w siostrze swojego przyjaciela-alkoholika (Ed Harris). Film był porażką kasową, nie spodobał się

też krytyce. Dziś pamiętają o nim tylko najbardziej zagorzali wielbiciele aktora.

Krół komedii. Jeden z najbardziej niedocenionych filmów Martina Scorsese. Zrealizowany za blisko 20 milionów dolarów, przyniósł tylko 2 miliony wpływów. Krytycy byli zadowoleni, ale publiczności nie spodobała się zjadliwa satyra na showbiznes i kult celebrytów, przez co zapomina się, że Rupert Pupkin – niewydarzony, nachalny komik-amator prześladowający telewizyjnego gwiazdora (Jerry Lewis) – to jedna z najlepszych ról De Niro. Był jednocześnie zabawny i niepokojący, wywoływał empatię na przemian z odrazą. W trakcie kręcenia jednej ze scen De Niro wystosował kilka antysemickich uwag pod adresem Lewisa, chcąc wywołać w nim autentyczny gniew. Udało się – Lewis wspominał, że zapomniał o obecności kamer i chciał udusić prowokatora.



Robert De Niro w filmie: *Krół komedii*

Był to jednak epizod, bo prywatnie panowie bardzo się polubili. Ciekawostka – muzykę do filmu skomponował Robbie Robertson, eks-członek The Band, który wcześniej pracował nad soundtrackiem do **Wściekłego byka**. Scorsese nakręcił też **The Last Waltz**, film dokumentujący koncert The Band.

La Motta, Jake. Amerykański bokser włoskiego pochodzenia znany jako „Byk z Bronksu”. Świecił triumfy w latach 40., był mistrzem świata wagi średniej i nigdy nie przegrał walki przez nokaut. W latach 50. La Motta wycofał się ze sportu i zaczął pracować w przemyśle rozrywkowym – najpierw w charakterze kierownika barów i restauracji, później jako stand-upowy komik w nocnych klubach. W 1970 roku wydał autobiografię **Raging Bull: My Story**, którą zafascynowany bokserem De Niro podsunął Martinowi Scorsese. Taka jest historia powstania **Wściekłego byka**,

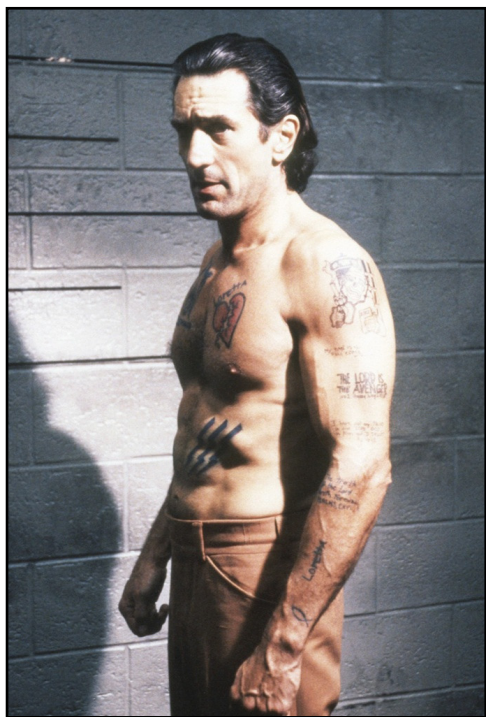
który wszedł na ekrany w 1980 roku. Realizację filmu podzielono na dwa etapy. Pierwsza partia filmu obrazuje sportowe sukcesy boksera. Żeby wypaść wiarygodnie, De Niro przeszedł intensywny trening pod kierunkiem samego La Motty. Następnie zdjęcia przerwano, żeby aktor mógł przygotować się do drugiej partii, która ukazuje La Mottę jako podstarzałego, otyłego komika. De Niro przybrał na wadze 27 kilogramów i dał się oszpecić charakterystyczną. Ale nie na fizycznej transformacji polegał sukces aktora. Unikając karykatury i przerysowań, De Niro nakreślił sugestywny portret utalentowanego człowieka, którego sukcesy na ringu były równoważone przez porażki w życiu osobistym i który ostatecznie osiągnął dno. Za swoją rolę zdobył drugiego Oscara (a pierwsze go za rolę główną), deklasując konkurencję. W trakcie ceremonii rozdania nagród na sali siedział sam La Motta.



Robert De Niro w filmie: *Wściekły byk*

Metoda. Jest znany z ekstremalnych sposobów budowania roli i obsesyjnego identyfikowania się z postacią, którą odtwarza. Lista jego poświęceń jest długa i imponująca. Grając w **Krwawej mamusce**, dał się żywcem zakopać i o mało się nie udusił. Przed występem w **New York, New York** opanował grę na saksofonie, pobierając lekcje u słynnego jazzmana George'a Aulda, którego doprowadzał do szału nieskończoną ilością pytań. Dał sobie pogorszyć stan uzębienia i zrobić tatuaże z henny, żeby wcielić się w psychopatę Maxa Cady'ego w **Przylądku strachu** (przeszedł też intensywny trening w celu wyrzeźbienia atletycznej sylwetki). Pracując nad rolą Ala Capone'a w **Nietykalnych**, wybrał się do Włoch, gdzie objadał się miejscowymi specjałami, żeby przybrać na wadze. Kazał też uszyć sobie jedwabną bieliznę, jaką nosił słynny gangster, choć nikt tego odeń nie wymagał. Kiedy kręcił **Łowcę jeleni**, zamieszkał na prowincji w Pensylwanii, a od zatrudnienia w miejscowej hucie stali (jego bohater był hutnikiem powołanym do Wietnamu) powstrzymała go tylko odmowa kierownika zmiany. „Moja praca jest mieszanką dyscypliny i anarchii” – twierdzi De Niro. – „Nie potrafię udawać aktorstwa. Wiem, że filmy są iluzją i być może trzeba przede wszystkim udawać, ale to nie dla mnie. Jestem zbyt ciekawski. Chcę zmierzyć się z każdym aspektem postaci, którą gram, małym czy dużym”.

Noodles. Pseudonim Davida Aaronsona, gangstera, którego De Niro zagrał w **Dawno temu w Ameryce**, ostatnim filmie Sergio Leone (1984). To jedna z najdojrzalszych ról w bogatym do-



Robert De Niro w filmie:

Przylądek strachu

robku aktora. Noodles jest postacią tragiczną, co De Nirowyraził w dwójnasób, stosując zarówno nadekspresję, jak i oszczędny styl gry. Noodles – niegdyś czerpiący z życia garściami energiczny mężczyzna – stał się człowiekiem przegranym, samotnym i nawiedzanym przez duchy dawno minionej przeszłości. Stracił wszystko: przyjaciół, ukochaną kobietę, złudzenia i, co najboleśniejsze, wiarę w przyjaźń. Początkowo w roli Noodlesa Leone (który zresztą próbował nakręcić ten film od końca lat 60., rezygnując m.in. z reżyserii **Ojca chrzestnego**) widział najpierw Ala Pacino i Jacka Nicholsona, a potem Richarda Dreyfussa i Toma Berengera. Jednak De Niro okazał się



Robert De Niro w filmie: *Ojciec chrzestny 2*

bezkonkurencyjny. Jak zwykle miał pełno pomysłów na swoją rolę. Żeby odpowiednio głęboko wejść w skórę gangstera, chciał nawet spotkać się z mafiosem Meyerem Lanskyem, ale ten odmówił. Nie ograniczał się tylko do swojej roli – zaproponował, żeby grany przez Jamesa Woodsa senator Bailey miał idealne, śnieżnobiałe uzębienie symbolizujące bogactwo i próżność. Producenci filmu odmówili, tłumacząc się budżetem, więc De Niro sam zapłacił za protezę. Pełna rozmachu opowieść Leone to absolutny majstersztyk nie tylko z powodu doskonałej roli De Niro. Po premierze w Cannes twórcom ***Dawno temu w Ameryce*** zgotowano piętnastominutową owację na stojąco.

Ojciec chrzestny 2. Pierwsza wybitna rola De Niro, który chciał zagrać już w pierwszej części słynnej mafijnej sagi.

Wówczas przegrał walkę o rolę Sonny'ego Corleone z Jamesem Caanem, ale Francis Ford Coppola zapamiętał De Niro i zaangażował go do drugiej części. Postać młodego Vito Corleone, który z ubogiego sycylijskiego emigranta staje się głową mafijnej rodziny, odziedziczył De Niro po Marlonie Brando, co było niełatwą spuścizną. Aktor musiał bowiem zmierzyć się z faktem, że w świadomości widzów Corleone to Brando. Trzeba było więc nie tylko nawiązać do genialnej, wręcz ikonicznej kreacji Brando, ale też uniknąć ślepej mimikry graniczącej z parodią. De Niro wywiązał się z tego niełatwego zadania z nawiązką. Vito Corleone w jego interpretacji to człowiek czujny i skoncentrowany, w każdej chwili gotowy do reakcji, a jednocześnie niezwykle powściągliwy i opanowany. Aby uzyskać odpowiedni efekt, De Niro wyjechał

na Sycylię, gdzie obserwował kulturę, zwyczaje, gestykulację i zachowania wyspiarzy. Z uwagą przysłuchiwał się charakterystycznemu dialektowi i szybko go opanował. Drugim kluczowym elementem budowania roli było obsesyjne oglądanie pierwszej części **Ojca chrzestnego** i szczegółowa analiza gry Brando. „Widzowie mieli uwierzyć, że młody Vito stanie się tym starym, mamroczącym ojcem chrzestnym”. Uwierzyli wszyscy – widzowie, krytycy i członkowie Amerykańskiej Akademii Filmowej, którzy nagrodzili De Niro pierwszym w karierze Oscarem.

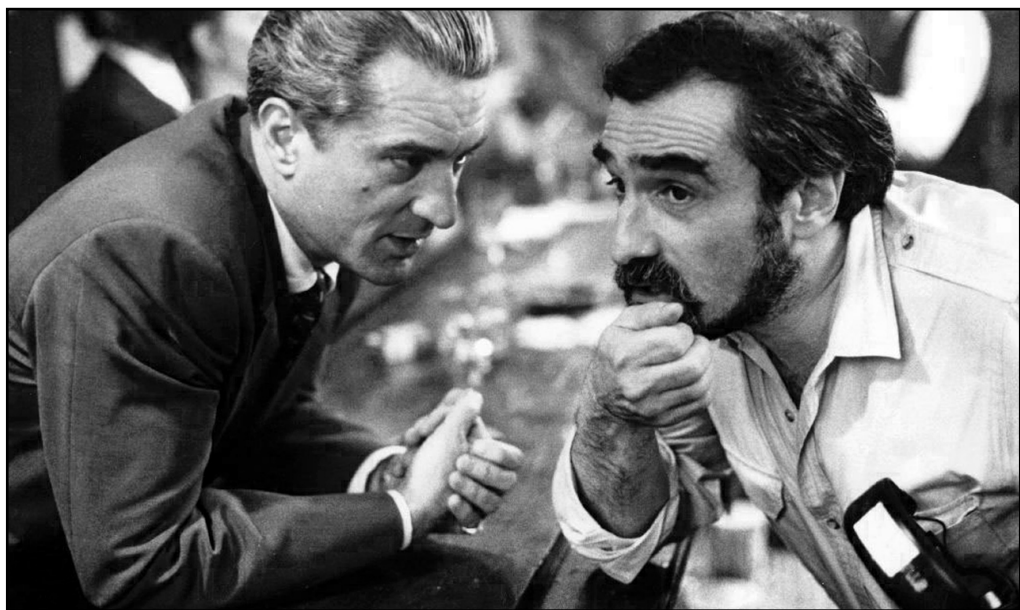
Prywatność. Jest znany z chorobliwego dbania o prywatną sferę swojego życia. Nie bryluje w mediach, rzadko udziela wywiadów. Dziennikarza Esquire, który jako jeden z nielicznych otrzymał zgodę na rozmowę z aktorem, uprzedzono, aby nie poruszał następujących tematów: polityka, religia,

rodzina i... zainteresowanie winami. „Udzielałem wywiadów po kilku pierwszych filmach. A potem pomyślałem, co jest takiego ważnego w tym, gdzie chodziłem do szkoły albo jakie mam hobby? I co to ma wspólnego z aktorstwem?”. Wiadomo, że do grona najbliższych przyjaciół aktora zaliczają się Martin Scorsese, Joe Pesci i Harvey Keitel. Niektórzy współpracownicy twierdzą, że prywatnie nie ma kogoś takiego jak Robert De Niro – jest tylko naczynie wypełniane kolejnymi rolami.

Rothstein, Sam. Pseudonim: Ace. Centralna postać w **Kasynie** Martina Scorsese (1995) – filmie-eposie o działalności organizacji przestępczych w Las Vegas. De Niro jako Rothstein to kierownik kasyna – przewidujący, obdarzony szóstym zmysłem geniusz hazardu. Będąc na usługach mafii, kieruje się swoistym kodeksem moralnym, który ostatecznie prowadzi



Robert De Niro w filmie: *Kasyno*



Robert De Niro i Martin Scorsese

go do klęski, bo w świecie, w którym się obraca, wszelkie zasady przestały już obowiązywać. Ace traci więc po kolei kobietę (doskonała Sharon Stone), najlepszego przyjaciela (Joe Pesci w popisowej roli wyszczekanego psychopaty) i wreszcie zaufanie mafii, która wydaje na niego wyrok śmierci. Rothstein to człowiek pełen sprzeczności. Potrafi być twardy, bezwzględny i jednocześnie uległy wobec zachcianek żony, wyciszony i zarazem pełen ekspresji. Przede wszystkim jednak sprawia wrażenie bohatera greckiej tragedii, nad którym ciąży uporczywe fatum – kogoś świadomego przekleństwa i pułapki, w jakiej się znalazł, a jednak niepozbowionego godności i woli przetrwania. W interpretacji De Niro Rothsteina można nie tylko zrozumieć, ale i nawet obdarzyć sympatią, chyba jako jedyną postać w **Kasynie**.

Scorsese, Martin. Jeden z najważniejszych i najbardziej wpływowych amerykańskich reżyserów. Wieloletni współpracownik i przyjaciel De Niro. Poznali się na początku lat 70. przez wspólnego znajomego. Choć dorastali w tej samej dzielnicy i widywali się na ulicach, do tamtej pory nie zamienili ze sobą ani słowa. Razem nakręcili osiem filmów, z których większość przeszła do klasyki kinematografii: **Ulice nędzy** (1973), **Taksówkarz** (1976), **New York, New York** (1977), **Wściekły byk** (1980), **Król komedii** (1983), **Chłopcy z ferajny** (1990), **Przylądek strachu** (1991) i **Kasyno** (1995). De Niro odmówił Scorsese niewiele razy – odrzucił m.in. tytułową partię w **Ostatnim kuszeniu Chrystusa** i rolę Queenana w **Infiltracji**. Początkowo zgodził się zagrać Billa Rzeźnika w **Gangach Nowego Jorku**, ale zrezygnował, gdy dowiedział się, że będzie musiał spędzić sześć tygo-

dni w Europie. Obaj panowie planują reaktywację zawieszanej blisko 20 lat temu współpracy. Przewidywany na 2014 rok film **The Irishman** ma być powrotem Scorsese do formuły filmów o mafii, a oprócz De Niro mówi się także o udziale Ala Pacino i Joe Pesciego.

Taksówkarz. Travis Bickle to zdesperowany, przeraźliwie samotny weteran wojny w Wietnamie, który nie potrafi odnaleźć się w społeczeństwie. Cierpi na nadmiar wolnego czasu i bezsenność, zatrudnia się więc na nocną zmianę jako taksówkarz i jeździ po niebezpiecznych dzielnicach Nowego Jorku. Na ulicach miasta widzi przemoc, prostytutkę i moralną degrengoladę. Kiedy poznaje młodocianą prostytutkę (Jodie Foster), postanawia krwawo rozprawić się z jej brutalnym alfonsem (Harvey Keitel). Bickle to z pewnością jedna z najsłynniejszych i najbardziej kultowych kreacji De Niro, który stwier-

dził, że musi zagrać w tym filmie, bo będzie on oglądany za pięćdziesiąt lat. Szykując się do roli, De Niro zażył sobie... kurtki i butów scenarzysty Paula Schradera, ale na tym nie poprzestał. Zrzucił 15 kilogramów, zdobył licencję taksówkarza i przez kilka tygodni nocami jeździł taryfą po nowojorskich ulicach. Gdy został rozpoznany przez zaskoczonego fana, z kamienną twarzą rzucił: „Tak to jest w Hollywood. Jednego dnia dostajesz Oscara, drugiego jeździsz taksówką”. **Taksówkarz** był wielkim triumfem tandemu Scorsese-De Niro i po dziś dzień uważany jest za flagowe dzieło amerykańskiego kina.

Ulice nędzy (ang. *Mean Streets*). Pierwsza ważna rola De Niro i zarazem początek długoletniej współpracy z Martinem Scorsese. Reżyser zaproponował aktorowi cztery różne role, z których De Niro zainteresowały dwie – nie mógł jednak zdecydować się, czy zagrać har-



Robert De Niro w filmie: *Ulice nędzy*



dego, lecz dobrodusznego Charliego, który próbuje piąć się po szczeblach przestępczej kariery, czy Johnnynego Boya, wiecznie splukanego drobno-cwaniaczka o autodestrukcyjnych skłonnościach. Kiedy rola Charliego ostatecznie trafiła do Harveya Keitel-a, De Niro wcielił się w Johnnynego. W rezultacie swoją drugoplanową rolą aktor skradł Keitelowi cały film. Kreacja De Niro przesądziła też o jego angażu w **Ojcu chrzestnym 2**. Kiedy Coppola zobaczył **Ulice nędzy**, nie miał wątpliwości, że aktor będzie idealnym młodym Vito Corleone.

Wiek XX. Film Bernardo Bertolucciego z 1976 roku, znany też pod tytułem **Novecento** lub **1900**. Historia dwóch mężczyzn, syna właściciela ziemskiego i bękarta (w tych rolach kolejno De Niro i Gerard Depardieu), którzy próbują odnaleźć się w rzeczywistości Włoch pierwszej połowy ubiegłego stulecia. Epicki, trwający 5 i pół godziny (!) film okazał się kasową i artystyczną porażką. Krytykom nie spodobała się proscjonalistyczna wymowa, zaś czas trwania filmu skutecznie odstraszał widzów od zakupu biletu do kina – nawet pomimo faktu, że wyświetlano go w dwóch częściach na osobnych seansach. **Wiek XX** okrył się też ponurą sławą z innego powodu. Choć na ekranie na szczęście tego nie widać, to w trakcie realizacji filmu „dla potrzeb artystycznych” zabijano prawdziwe zwierzęta.

„You talkin’ to me?” Najsłynniejsza kwestia z **Taksówkarza**. Doczekała się kultowego statusu oraz niezliczonych przeróbek, hołdów i parodii. „Nigdy bym nie pomyślał, że po tych wszyst-

kich latach ludzie w samochodach będą cię rozpoznawać na ulicy i krzyczeć **You talkin’ to me?** Nie pamiętam oryginalnego scenariusza, ale nie wydaje mi się, żeby ten tekst w nim był. Improwizowaliśmy. Z jakiegoś powodu to uderzyło dokładnie tam, gdzie trzeba” – mówił De Niro.



Robert De Niro

„You talkin’ to me?”

Zawodowcy. Pod takim tytułem wyświetlano w Polsce film **Righteous Kill** (2008) z De Niro i Alem Pacino w rolach głównych. Pomimo drugiego (po **Gorączce**) spotkania z innym gigantem ekranu, De Niro nie miał zbyt wiele do zagrania, a sam film okazał się przeciętnym thrillerem policyjnym i wpisywał się w fatalny dla aktora okres, w którym grywał kiepskie role w słabych produkcjach. Powrotem do formy była dopiero drugoplanowa rola znerwicowanego, choć sympatycznego ojca głównego bohatera (Bradley Cooper) w **Poradniku pozytywnego myślenia** (2012). De Niro dostał za nią siódmą w karierze nominację do Oscara. Aktor pozostał nadal aktywny zawodowo. Jeszcze w tym roku na ekrany trafią cztery filmy z jego udziałem, w tym wyprodukowana przez Scorsese sensacja **The Family** Luca Bessona, w której wystąpią także Tommy Lee Jones i Michelle Pfeiffer.



The Family
Official Trailer

Maciej Kaczmarski

Polskie Animacje

odkrycia 2013

Tak jak lata 60. minionego stulecia ochrzczone zostały złotym wiekiem polskiej animacji, tak o najnowszych polskich animowanych krótkometrażówkach można powiedzieć, że to okres odrodzenia. I nie ma w tym żadnej przesady.

Po 1989 roku rodzimą twórczość dotknął kryzys, ponieważ państwo przestało finansować filmy produkowane przez studia animowane. Lata 90. XX wieku nazywane są nawet czarną dekadą polskiej animacji. Zeszłorocznymi i tegorocznymi dowodami na świetną kondycję w naszym kraju tego specyficznego gatunku filmowego są między innymi takie nietuzinkowe dzieła, jak: ***Toto, O rządach miłości, czy Co się dzieje, gdy dzieci nie chcą jeść zupy.***

Paweł Prewencki

Co się dzieje, gdy dzieci nie chcą jeść zupy

Opowieść utrzymana w nastroju sennego koszmaru, która pokazuje, co się dzieje, gdy dzieci nie słuchają rodziców (lub dziadków, jak to było w tym przypadku). Karą, jaka spotyka dwójkę kilkuletnich bohaterów, nie jest jednak nakaz stania w kącie przez pół godziny. W ***Co się dzieje, gdy dzieci nie chcą jeść zupy*** brak dyscypliny u urwisów skutkuje czymś znacznie gorszym. Jaka kara może wywołać u dzieci największe przerażenie? Gdy odpowiemy sobie na to pytanie, obejrzymy animację Prewenckiego i sprawdzimy,

jak blisko byliśmy prawidłowej odpowiedzi.

Ten krótkometrażowy horror animowany wzbudzał wielkie nadzieje odnośnie kolejnych dzieł animatora. W dwa lata później okazało się, że mamy do czynienia z twórcą nie tylko oryginalnym, lecz również nieprzewidywalnym. Jego czarno-biała ***Plaża*** z 2013 roku jest całkowitym odejściem od poetyki debiutu.

Paweł Prewencki

Plaża

Zrealizowana w komediowej konwencji animacja zbudowana z kadrów, które nie tworzą konkretnej historii. W ***Plaży*** fabułę zastępuje luźna obserwacja plażowiczów. Pani z rumieńcem na policzku czyta książkę, której stronicę przewraca wiatr, szczupła kobieta z lubością zanurza się w wodzie, mały chłopczyk turla się wraz z piłką, na której leży, a gruby mężczyzna zajada się frytkami. Na pierwszy rzut oka bohaterów ***Plaży*** nie łączy nic z wyjątkiem miejsca, czasu i faktu, że każdy z nich odpoczywa. Nie bądźmy naiwni i nie dajmy się zwieść pozorom. Plażowicze – bez względu na to, czy są to kobiety,





Plaża

mężczyźni, czy dzieci – mają ze sobą więcej wspólnego, niż nam się może wydawać. Dopuszczmy do głosu Prewenckiego i posłuchajmy – a raczej zobaczmy – co to jest, a okaże się, że dotyczy większości z nas.

Milena Molenda

Tramwaj jedzie

W **Plaży** gorzka prawda została ukazana bez silenia się na patetyczny ton. W etiudzie szkolnej Mileny Molendy jest nieco inaczej. Choć w **Tramwaj jedzie** nie brak akcentów komediowych, pierwsze skrzypce gra tutaj melancholia, która bije z każdego ujęcia. Jest to opowiedziana w niespiesznym tempie historia przystanku tramwajowego, którego jedynym „zajęciem” jest obserwacja ludzi wsiadających i wysiadających z tramwaju. Molenda prezentuje całą gamę najróżniejszych postaci, wśród których nie brakuje miejsca nawet dla rozdających ulotki

„hot-dogów” i „telefonów komórkowych” oraz obładowanego tobołami bezdomnego, zapalającego znalezione na chodniku niedopałek.

Po seansie **Tramwaj jedzie** warto sięgnąć po dzieła Jerzego Kuci. **Refleksy** (1979) lub **Strojenie instrumentów** (2000) kreski tego wybitnego twórcy podobnie łączą w sobie realizm z pragnieniem ukazania zwyczajnych sytuacji w niespotykany sposób. Molenda udowadnia, że we wszystkim tkwi, jeśli nie ziarno, to przynajmniej ziarnko tajemnicy.

Alicja Błaszczyńska

Pac!

Najmocniejszą stroną krótkometrażówki Alicji Błaszczyńskiej jest genialny pomysł, który stał się podstawą fabuły tego trwającego jedynie minutę i piętnaście sekund filmu. Jego zdradzenie zepsułoby radość oglądania **Pac!** Ogranicz się tylko do zacytowania

umieszczonego na portalu Filmpolski.pl opisu animacji: „Historia kobiety, która chciała się wykąpać”. Aby spowić film jeszcze większą aurą tajemnicy, dodam, że jest to szalenie zabawna historia kobiety, która chciała się wykąpać.

Anna Kosińska

Macica

Po śmierci każdego człowieka pozostają przedmioty, które stanowią dla bliskich symbole jego istnienia. Są to także pamiątki wspólnie spędzonych chwil. Piłka do siatkówki należąca do zmarłego syna może przypominać jego matce o pasji dziecka. Kolekcja płyt z filmami ojca może wskrzeszać w jego córce wspomnienie rodzica z zapałem opowiadającego o obejrzanym niedługo przed śmiercią **Django Unchained** Quentina Tarantino. Chociaż są to tylko wymyślone przeze mnie przykłady, stanowią adekwatne odniesienie

do tego, jak o utracie bliskiej osoby opowiada **Macica**. Usunięty matce na skutek choroby tytułowy narząd, który ze względu na swoje piękno staje się muzealnym eksponatem, w oczach syna przeobraża się w symbol więzi z rodzicielką. Kobieta niedługo po operacji umiera. Nie umiera jednak pamięć syna o matce.

Izabela Bartosik-Burkhardt

Agnieszka

Wyobraźmy sobie, że niespodziewanie i bez słowa wyjaśnienia odchodzi od nas najbliższa osoba. Naszym – często jedynym – towarzyszem staje się samotność, bezradność i brak wiary. Taki los spotyka tytułową bohaterkę. Porzucona w dzieciństwie przez matkę ucieka w świat wyobraźni, w którym szuka lekarstwa na traumę. W nim też odnajduje miłość i radość życia. Agnieszka uczy się grać na fortepianie, lecz piękniejszą muzykę komponują



Macica



jej gesty, którym Bartosik-Burkhardt nadaje niezwykłą płynność. Plastyka tej animacji urzeka i mówi więcej niż słowa byłyby w stanie wyrazić. **Agnieszka** została zasłużenie nagrodzona Brązową Kreską na tegorocznym festiwalu OFAFA.

Anita Kwiatkowska-Naqvi

Ab ovo

W jaki sposób zobrazować przebieg ciąży i zmiany zachodzące w ciele kobiety, która spodziewa się potomka? Co więcej, jak tego dokonać nie popadając w banał i nie ulegając pokusie trywializacji tematu? Wie to na pewno Anita Kwiatkowska-Naqvi. Jej odpowiedzią na postawione pytania jest **Ab ovo**. To film, za pomocą którego autorka zdaje się mówić, że nie ma piękniejszego daru niż dar życia. Formą tej wypowiedzi jest animacja lalkowa. Na tle wyróżnionych w zestawieniu

filmów **Ab ovo** stanowi wyjątek, gdyż pozostałe krótkometrażówki wykonane są techniką rysunkową.

Zbigniew Czapla

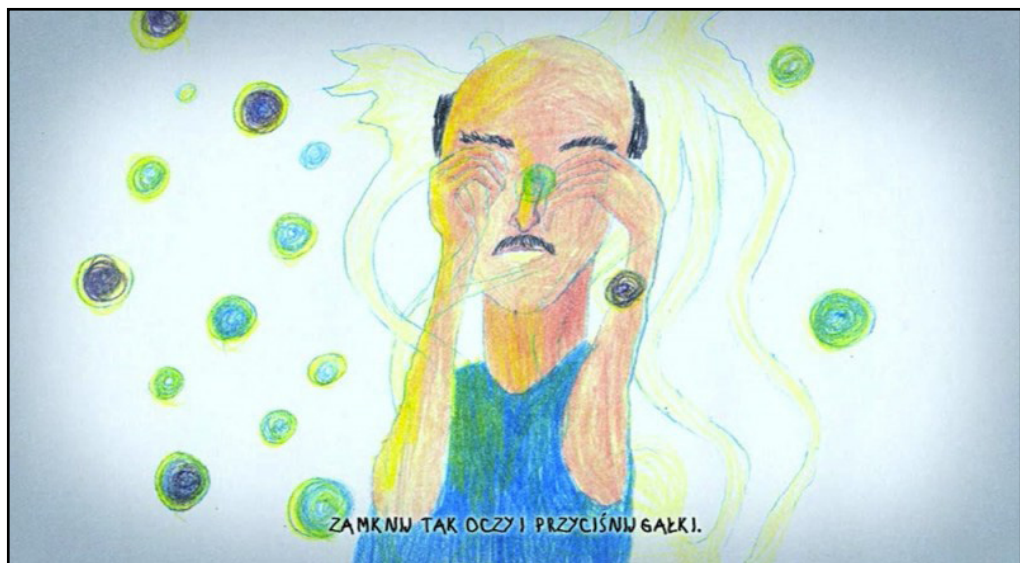
Toto

Animacja **Toto** jest tym dla oczu, czym gofry z owocami i bitą śmietaną dla podniebienia. Czerwień, biel i czerni tworzą obrazy „pyszne” i kuszące. Mały Toto, ulega pokusie oddalenia się od domu. Naraża siebie na niebezpieczeństwo, a matkę na troskę i niepokój. Czy spotkany przez niego tajemniczy i złowrogo uśmiechający się mężczyzna oznacza tylko drobne kłopoty, czy stanie się traumą na resztę życia? Dla widza poddanie się pokusie obejrzenia **Toto** może na szczęście oznaczać jedynie trwającą ponad dziesięć minut przyjemność. Chwile grozy dodają opowiadanej historii smaku.



Ab ovo





Toto

Adela Kaczmarek

O rządach miłości

„Schizofrenia paranoja” – pada wyrok. Dla Mariusza słowa te oznaczają koniec młodości, a wraz z nią wolności, którą dotychczas się cieszył. Tematy te sytuują się jednak na marginesie jego wspomnień, których centrum zajmują opowiadania o kolegach ze szpitala psychiatrycznego, Bogu i o wytworach chorego umysłu. Główny bohater przywołuje tylko radosne i piękne wizje, sprawiając wrażenie człowieka przepełnionego miłością do świata. A przecież los tak ciężko go doświadczył. Niezwykłe w tym filmie jest również to, że funkcja Mariusza nie ogranicza się do bycia pierwszoplanową postacią i narratorem. Jest on także autorem rysunków do tego animowanego dokumentu, co w dużej mierze przyczynia się do silnej identyfikacji widza z bohaterem.

Polscy twórcy animacji często wkraczają w intymność swoich bohaterów, nie bojąc się również tematów, które powszechnie przynależą do sfery tabu. Jako kobieta nie mogę też nie zauważyć pewnego, wyjątkowego na tle dzieł filmowych, aspektu polskiej animacji. Mam tu na myśli mnogość utalentowanych kobiet – animatorek. Miejmy nadzieję, że również w rodzimym kinie fabularnym doczekamy się niebawem znaczącej kobiecej konkurencji dla twórców płci męskiej.

Agnieszka Młynarczyk

Girls

w wielkim mieście

Bohaterki **Girls** to zwyczajne, pochodzące z odmiennych środowisk dziewczyny, którym zdarza się popaść w finansowe tarapaty. Ich podstawowe problemy wywodzą się z takich obszarów jak praca, miłość, rodzina, pieniądze. Wielu z nas może dostrzec analogie pomiędzy **Leną Dunham** (serialowa Hannah, a także scenarzystka i producentka serialu), która dzięki **Girls** stała się osobowością filmową, oraz **Woodym Allenem**, którego wybitna **Annie Hall** porusza i śmieszy do dzisiaj.

Girls to komediodramat. Gorycz miłosego zawodu miesza się tutaj z wybuchowym procesem dojrzewania i cudownością przeżywania „po raz pierwszy”. „Pierwszy raz” Shoshanny, pierwsza praca Hanny i jej pierwsza w życiu porcja kokainy, wejście Jessy w pierwszy związek małżeński. Zachowania i dialogi bohaterów często

provokują tłumiony powagą sytuacji śmiech.

Lena Dunham, aktorka, reżyserka i scenarzystka w jednej osobie to postać niezwykle charyzmatyczna. Pulchna, niewysoka, o przeciętnej urodzie przypomina równie niedoskonałego Woody'ego Allena i jego bohaterów – Alvy'ego czy Isaaca. Jej Hannah nie próbuje ukrywać słabości – co więcej, ona je uwydatnia. I często czyni to w sposób, który sieje w widzu zgorzelenie, choć – mogłoby się wydawać – w obecnych czasach nic już nie jest w stanie nas naprawdę poruszyć. Alvy Singer, bohater **Annie Hall** Allena, który podobnie jak Hannah mieszkał w Nowym Jorku, bez wstydu przyznawał, że od 15 lat chodzi do psychoanalityka. Jakby tego było mało, allenowski bohater ma zadatki na hipochondryka, a w miłości szczęście mu nie dopisuje. Alvy pół żartem, pół serio podsumowuje swoją osobę: „Nie chciałbym być członkiem klubu, który miałby kogoś takiego jak



Girls





ja za członka". W latach 70. miniego wieku ten tysięcący mężczyzna w średnim wieku był głosem swojego pokolenia. Dzisiaj, w drugiej dekadzie XXI stulecia dwudziestoczteroletnia Hannah Horvath mówi: „Chyba jestem głosem swojego pokolenia”.

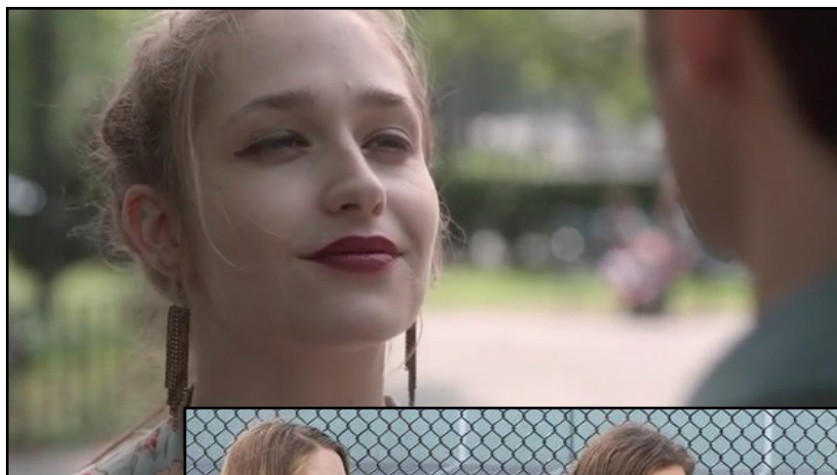
Przełom w życiu głównej bohaterki następuje w momencie, gdy rodzice oznajmiają jej, że musi utrzymywać się sama. Jest to wyrok, który nie uwzględnia apelacji. Hannah szybko znajduje pracę, lecz nie taką, o jakiej marzyła, a w sprawach sercowych zalicza bolesne upadki.

„W sumie bardziej mi się podoba to, co się dzieje na drugim planie”. Taki komentarz do któregoś z odcinków ***Girls*** przeczytałam na jednym z portali filmowych. Można odnieść wrażenie, że w pierwszym sezonie serialu główna bohaterka i wszystko, co jej dotyczy, rzeczywiście wysuwa się na pierwszy plan. W centrum uwagi jest Hannah i jej problemy. W drugim

sezonie Dunham wyróżnia postacie i wątki drugoplanowe. Zdecydowanie częściej dopuszcza do głosu Marnie, Jessę, Shoshannę, a nawet Adama, Raya i Charliego. Nałogi Adama, egzystencjalne rozterki Raya, zagubienie Marnie czy przykre życiowe doświadczenia Jessy intrygują w tym samym stopniu, a może nawet bardziej, niż losy Hanny.

Bohaterowie są najmocniejszą stroną tego serialu. ***Girls*** to kolaż ludzkich osobowości i postaw. Jedną z najbardziej zachwycających postaci jest Adam. Trudno nazwać go przystojnym, jeszcze trudniej pokładanym. Ten niemalże dwumetrowy brunet z odstającymi uszami i uroczym uśmiechem jest seksualnym dewiantem. Jednak sposób bycia, samoświadomość i czystość intencji, która charakteryzuje Adama, sprawiają, że nie wzbudza w nas niechęci. Nie mniej ciekawa jest Jessa, była narkomanka, dla której dalekie





podróże stanowią najlepsze lekarstwo na złamane serce. Jest jeszcze Ray – 33-letni mężczyzna z poczuciem, że niczego jeszcze w życiu nie dokonał.

W marcu tego roku drugi nakręcony dotychczas sezon **Girls** miał swój koniec w postaci optymistycznie zatytułowanego odcinka – **Together**. Stanowił on finał serii dziesięciu epizodów, w których nie brakowało rozstań i powrotów, szczerych wyznań, przyjacielskich potyczek czy awantur kochanków. Jedna z nich zakończyła się nawet... policyjną interwencją.

Można snuć przeróżne domysły na temat tego, co twórcy pokażą nam w kolejnej części serialu. Zapewne wielu z nas nie oprze się tworzeniu w wyobraźni własnych wersji dalszych losów bohaterów **Girls**. Czasu na to nie zabraknie, bo premiera trzeciego sezonu zaplanowana jest dopiero na przyszły rok.

Agnieszka Młynarczyk



PREMIERY *książkowe*

#dramat #obyczajowy #komedia

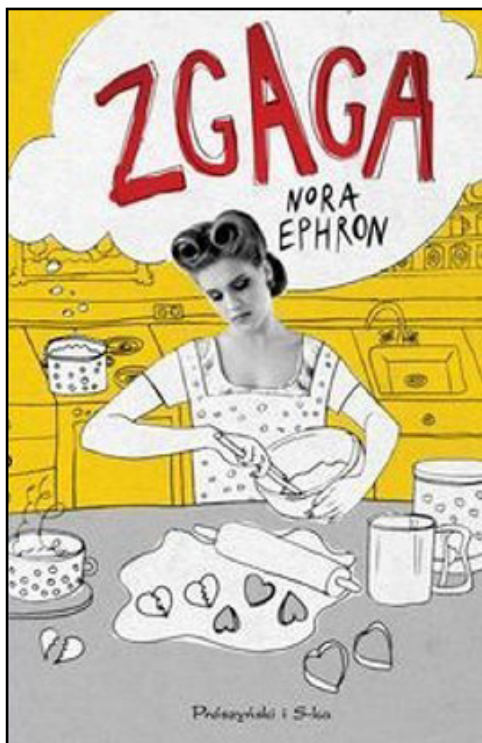
Nora Ephron

Zgaga

Co powinna zrobić kobieta, gdy się dowie o romansie męża? Jak może postąpić w sytuacji, gdy jest w ciąży z drugim dzieckiem, a wszyscy przyjaciele i dalsi znajomi uważają jej rodzinę za ideał? Autorka od razu rzuca swoją bohaterkę Rachel na głęboką wodę, a nad całą historią unosi się zapach obiadu. Niestety, nieco przypalonego.

Zgaga jest powieściowym debiutem znanej scenarzystki Nory Ephron. Książka w oryginale wydana w 1983 roku zebrała dużo pozytywnych recenzji. Pisząc powieść, autorka całymi garściami czerpała z własnego, bolesnego doświadczenia życiowego. Kilka lat później ***Zgaga*** została zekranizowana, a w rolach głównych obsadzono Meryl Streep i Jacka Nicholsona.

Zgagę można czytać dwojako. Jako powieść autobiograficzną scenarzystki kilkunastu romantycznych hitów kinowych, która ukazuje mały wycinek jej prywatnego życia, lub jako pisaną komedię obyczajową, lekką literaturę kobietą z dodatkiem przepisów na specjały z kuchni Rachel. W obu przypadkach jest to lektura nieco rozczarowująca i bardzo powierzchowna.



Nora Ephron niewątpliwie miała talent do pisania historii „z życia wziętych”, jednak w powieści **Zgaga** czytelnik nie ma szans poznać bliżej bohaterów, utożsamiać się z nimi lub w ogóle obdarzyć ich jakimkolwiek uczuciem. Po przewróceniu ostatniej strony pożegnamy się z Rachel bez większego żalu.

#fantastyka #science fiction

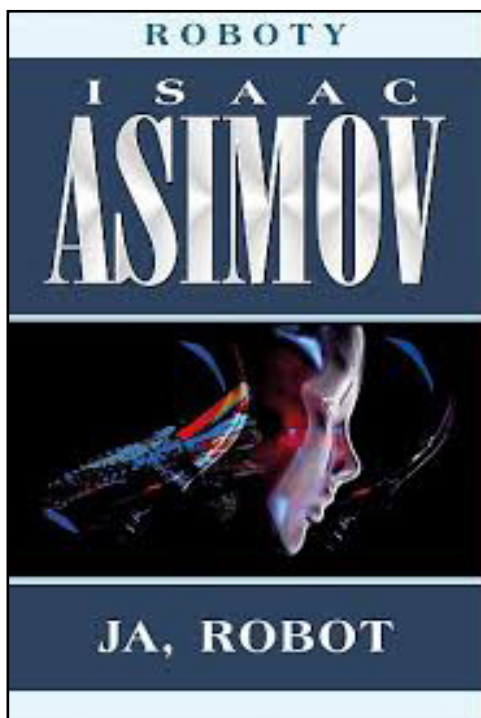
Isaac Asimov

Ja, Robot

Wznowienie opowieści jednego z najbardziej znanych autorów science fiction. **Ja, Robot** to zbiór dziewięciu opowiadań Isaaca Asimova opublikowany po raz pierwszy w 1950 roku. Dziś uznawane są za klasykę i mistrzostwo gatunku.

W swoich fantastyczno-naukowych opowiadaniach Isaac Asimov przedstawia historie robotów posiadających sztuczną inteligencję. Wraz ze zdobywaniem doświadczenia w pracy na rzecz ludzi ewoluują i zaczynają stawiać pytania o sens egzystencji. Formułowane w książce Trzy Prawa Robotyki (zakaz wyrządzania krzywdy człowiekowi, posłuszeństwo wydawanym przez ludzi poleceniom i dążenie do zachowania swojego istnienia) wywarły ogromny wpływ na twórczość pisarzy sci-fi, ale nie tylko – dylematy, przed którymi stają roboty Asimova, to te same rozterki, przed którymi my, ludzie, stajemy codziennie.

Sięgając po **Ja, Robot**, należy pamiętać, że opowiadania te powstały przed całymi dekadami. Dzisiaj twórczość Isaaca Asimova może się wydać niektórym zbyt naiwną, jednak wciąż pobudza naszą wyobraźnię.



Skala ocen:

Sto lat samotności

Miasto grzechu

Cień wiatru

Gra w klasy

Czas jest najprostrszą rzeczą

Moja walka...

Kronika sportowa

Paulo Coelho

**

Żegnaj laleczko

*

Czas pogardy

#historia #literatura faktu

Sławomir Koper

Gwiazdy Drugiej Rzeczypospolitej

Sławomir Koper w swoich książkach przedstawia historię poprzez fakty mało znane lub pomijane w oficjalnych opracowaniach. Druga Rzeczypospolita to czas przejścia z epoki kina niemego do dźwiękowych produkcji i pierwszych prawdziwych gwiazd filmowych. Pod okładką ze sceną z filmu ***Czy Lucyna to dziewczyna?*** kryją się sylwetki Stefana Jaracza, Eugeniusza Bodo, Konrada Toma, Lody Halamy, Jadwigi Smosarskiej, Toli Mankiewiczówny, Antoniego Fertnera i Aleksandra Żabczyńskiego – najbardziej rozchwytywanych gwiazd tamtych czasów. Autor zabiera nas w podróż do szalonych lat 20. i 30., gdzie odwiedzimy warszawskie rewie i kabarety. I choć nie zawsze opowiada historie przyjemne (alkoholizm Stefana Jaracza, tragiczna śmierć Eugeniusza Bodo), to międzywojenna Polska pozostaje niesamowitym snem, do którego chciałoby się wrócić.

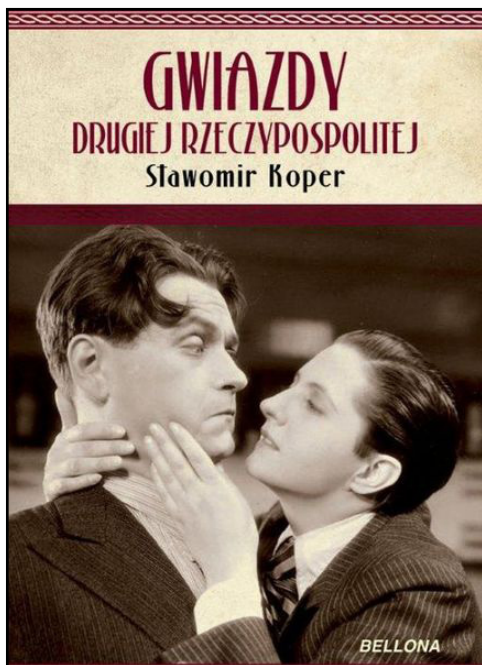
Dzięki lekkiemu językowi i nieszablonowemu podejściu Sławomira Kopra do historii, ***Gwiazdy Drugiej Rzeczypospolitej*** czyta się jak intrygującą powieść.

#reportaż #Rosja

Barbara Włodarczyk

Nie ma jednej Rosji

Barbara Włodarczyk – dziennikarka, której swoimi reportażami telewizyjnymi udało się przybliżyć Polakom daleką i nieznaną Rosję. Niektóre z nich zebrała i opublikowała w książce ***Nie ma jednej Rosji***.



Nawrócony milioner, bezdomny nastolatek, podopieczni domu spokojnej starości, projektantka mody, sobowtór Lenina – zebranie w jednej pozycji tak skrajnie różnych bohaterów dało niesamowity efekt. Z każdym dziennikarka spędza dzień lub kilka, a ci pokazują jej swoją Rosję. Nieraz biedną, pogrążoną w bezprawiu, odbijającą się w witrynach ekskluzywnych sklepów, epatującą golizną w nocnych klubach.

Z każdą kolejną historią czytelnik przekonuje się, że zaproponowany tytuł książki nie jest gołosłowny. Rosja naprawdę jest krajem o wielu twarzach. Takim, co „bez wódki nie razbieriesz”.

#opracowanie #literatura faktu #horror

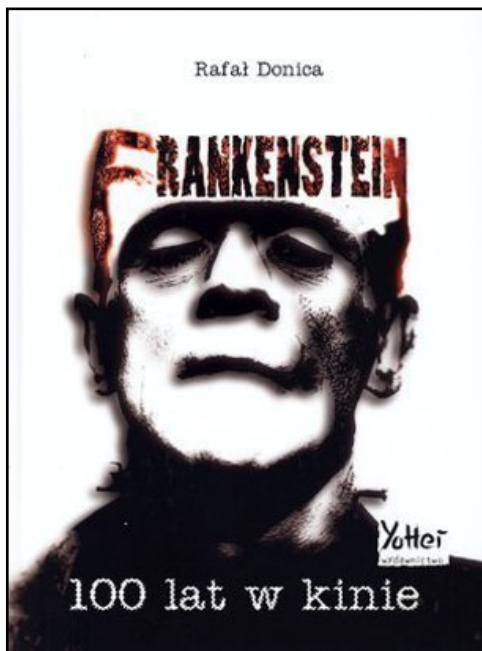
Rafał Donica

Frankenstein. Sto lat w kinie

Ze świecą szukać tego, komu obce jest nazwisko Frankenstein. Niewielu jednak wie, że powieść Mary Shelley będzie niedługo obchodzić swoje dwusetne urodziny. To chyba dobra okazja, żeby zebrać i usystematyzować wiedzę o tej kultowej postaci, a podjął się tego zadania Rafał Donica.

Frankenstein. Sto lat w kinie jest książką niesamicie wciągającą. W jednym z wywiadów autor zdradził, że początkowo książka miała być jedynie artykułem o filmowych wcieleniach monstrum Frankenstein. Został on bardzo przychylnie przyjęty, a Rafał Donica postanowił dalej drążyć temat. W rezultacie udało mu się zebrać i przeanalizować tyle materiału, że wydanie tego w formie książki było tylko kwestią czasu.

Frankenstein Donicy zasługuje na uwagę przede wszystkim ze względu na zasób informacji, jaki prezentuje. Tytuł



sugeruje, że książka jest o filmowych wcieleniach motywu Frankenstein, jednak autor próbuje przedstawić temat nieco szerzej. Pełno tu ciekawostek, odwołań do filmów i mitów, które były inspiracją stworzenia monstrum przez szalonego naukowca. **Frankenstein. Sto lat w kinie** to lektura obowiązkowa nie tylko dla miłośników horroru.

#autobiografia #dramat

Constance Briscoe

Więcej, niż brzydka

Constance Briscoe chciała być akceptowana i kochana. Żeby poczuć się ze sobą dobrze, przeszła wiele operacji plastycznych. Zanim jednak do tego doszło, przeżyła piekło w rodzinnym domu zgotowane przez jej własną matkę.

Więcej, niż brzydka jest kontynuacją **Brzyduli**, która status bestselleru uzyskała w kilka dni od wydania. Constance, w dzieciństwie poniżana i torturowana przez własną matkę, po osiągnięciu samodzielności postanowiła udowodnić sobie i innym, że mimo wszystko jest czegoś warta. Jednak obsesja na punkcie bycia najlepszym we wszystkim nie pozwala zapomnieć słów matki. Te utkwily w pamięci i sercu na zawsze.

Młoda Constance postanawia zostać prawnikiem, studia finansuje pracą w hospicjum. Jednocześnie chce zdobyć doświadczenie w zawodzie oraz nie zapomnieć o życiu towarzyskim i odkładaniu na operacje plastyczne. Dziś wiemy, że udało jej się osiągnąć to, do czego dążyła (Constance Briscoe została jedną z pierwszych czarnoskórych sędzi w Wielkiej Brytanii), jednak cena, jaką płaciła za zmierzenie się z demonami przeszłości, była wielka.

Opracowała: Ana Matusevic



Czarny reset

Stare telewizory, które część z nas pamięta z wakacji u babć, miały to do siebie, że często się psuły. Metoda naprawy była jedna – podniesienie tyłka z fotela i przyłożenie z całej siły w wysłużony odbiornik. Amerykanie robią to samo z seriami komiksowymi.

Przeciętny zjadacz komiksowej rzeczywistości nie wyobraża sobie, żeby z rynku miały zniknąć komiksy z udziałem najpopularniejszych bohaterów: Supermana, Batmana, Spider-mana czy Kapitana Ameryki. Jednak każdą, nawet najpopularniejszą serię, może dopaść kryzys. Co zrobić, żeby tytuł przestał przynosić straty, odzyskał zaufanie czytelników i zaczął znów przynosić

zyski? Zmienić rysownika, scenarzystę, a jeśli to nie pomaga – zabić bohatera.

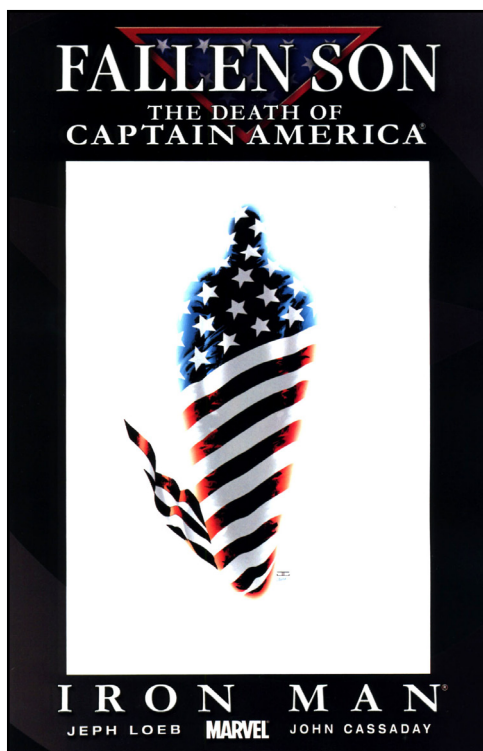
Dobry to martwy

Każdy szanujący się superbohater przynajmniej raz był w zaświatach. Jedni dosłownie, a w niektórych przypadkach śmierć potraktowana była bardziej metaforycznie. Dość jednak powiedzieć, że jeśli danemu bohaterowi nigdy nie



przyszło wachać kwiatków od spodu, to znaczy, że jest przeciętny. Uśmiercenie popularnego bohatera komiksowego w Stanach Zjednoczonych jest wydarzeniem nieporównywalnym z niczym, co dzieje się po naszej stronie oceanu. Europa nie zwykła do tego stopnia żyć poczynaniami fikcyjnych bohaterów. Nawet szum towarzyszący publikacji ostatniego tomu przygód Harry'ego Pottera nie dorównał szokowi po śmierci Supermana czy Kapitana Ameryki, choć sama J.K. Rowling umiejętnie podsyciała napięcie czytelników, informując o tym, że któryś z głównych bohaterów sagi zginie.

Superman i jego koledzy w kolorowych ubrankach umierali przede wszystkim po to, by podnieść wyniki sprzedaży. Nie odchodzili też na zawsze – chyba wszyscy prędzej czy później wracali. W komiksowym świecie nie istnieje zakaz beczczenia zwłok – każdego trupa można przywrócić do życia. Początkowo nietykalni byli jedynie rodzice Bruce'a Wayne'a, pierwsza dziewczyna Petera Parkera – Gwen Stacy, jego wujek – Ben oraz pierwszy pomocnik Kapitana Ameryki – Bucky. Dzisiaj już nie wszyscy spoczywają w pokoju. O ile rodzice Batmana i wujek Spider-mana powracają jedynie w retrospekcjach, to już Gwen Stacy zawitała na chwilę w postaci klona (był to zresztą niezbyt udany powrót). Bucky to zaś odrębna historia. Odważny scenarzysta, Ed Brubaker przywrócił go na karty komiksu w opowieści **Kapitan Ameryka – Zimowy Żołnierz** (niedawno opublikowanej w Polsce w ramach Wielkiej Kolekcji Komiksów Marvela



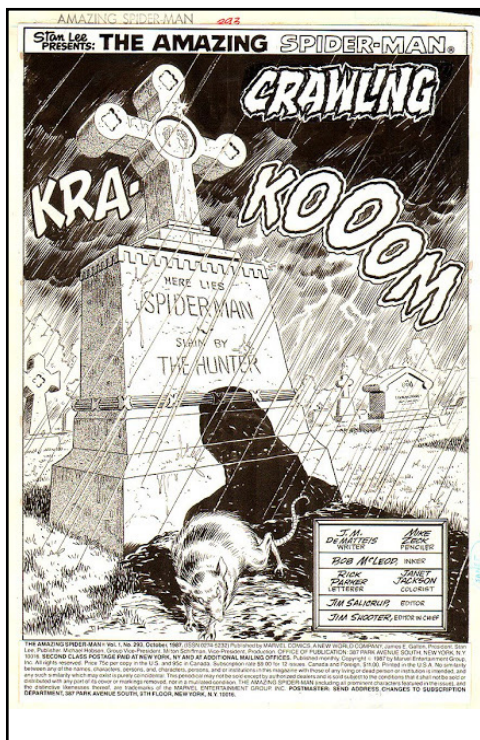
wydawnictwa Hachette). Kiedy komiksowy świat dowiedział się o zamiarach Brubakera, na scenarzystę spadła lawina krytyki, choć bronił go sam twórca postaci, legendarny Jack Kirby. Bucky był pewnego rodzaju świętością Marvela, której spokoju nie odważyli się naruszyć więksi twórcy niż scenarzysta z Maryland. Brubaker wybronił się jednak dobrą historią. W międzyczasie scenarzysta nieźle namieszał w życiorysie byłemu kumpłowi Kapitana Ameryki, przywracając go do świadomości odbiorców po 50(!) latach. I co się stało? Po pierwsze główna seria o Kapitanie Ameryce odzyskała zaufanie czytelników, którzy powoli odczuwali znużenie słodkopierdzącą opowieścią o chodzącym



symbolu. Po drugie Bucky trafił na karty własnej serii, pisanej zresztą przez tegoż Eda Brubakera. Scenarzysta ponownie postanowił namieszać w CV bohatera – opowiedział o jego początkach w latach 40., przez co nie było już tak miło, jak przed połową wieku.

Ostatnie łowy

W połowie lat 90. za pośrednictwem wydawnictwa TM-Semic na łamach komiksu **The Amazing Spider-man** w kraju nad Wisłą ukazała się legendarna sześcioczęściowa opowieść **Ostatnie łowy Kravena**. Była to prawdopodobnie pierwsza śmierć superbohatera, która trafiła pod nasze strzechy, choć



od technicznej strony tak naprawdę śmiercią nie była.

Scenarzysta J.M. DeMatteis i rysownik Mike Zeck pogrzebali dwie popularne postaci – Kravena Łowcę i samego Spider-mana. Jak przyznał w jednym z wywiadów Jim Salicrup, redaktor oryginalnego wydania, kluczowe znaczenie w „sprzedaniu” opowieści miały okładki – na sześć z nich aż dwie przedstawiały sceny dość szokujące dla czytelników w 1987 roku. Na jednej Kraven Łowca tańczył na grobie Spider-mana, na drugiej (szczególnie rozpoznawalnej w Polsce, bo była to także okładka jednego z zeszytów w pierwszym polskim wydaniu) Spider-man w czarnym stroju wygrzebywał się ze swojego grobu

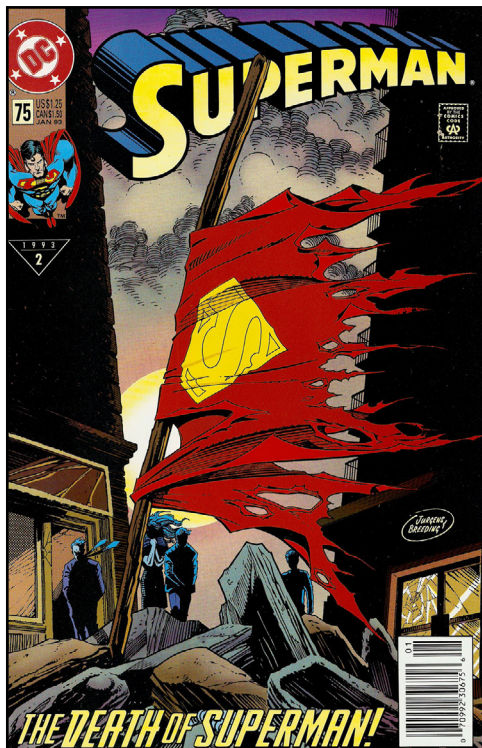
w strugach deszczu. O ile człowiek-pająk na łamach komiksu został otruty i w zasadzie pogrzebany żywcem, tak druga postać dramatu – Kraven Łowca – popełniła samobójstwo. Całość ma niezwykle mroczny charakter. DeMatteis pierwotnie chciał pomysł o powrocie zza grobu wykorzystać w przypadku Wonder Mana, na co nie zgodziło się szefostwo Marvela. Pomysł nie spodobał się także władzom DC Comics, kiedy scenarzysta przedstawił go w kontekście Batmana. Prekursorem wskrzeszeń został zatem Spider-man i nie była to jego ostatnia wizyta w zaświatach. W ostatnich latach zawitał tam po raz kolejny, a jego miejsce zajął... Dr Octopus (o czym przeczytać można w ukazującej się obecnie za oceanem serii **Superior Spider-man**).

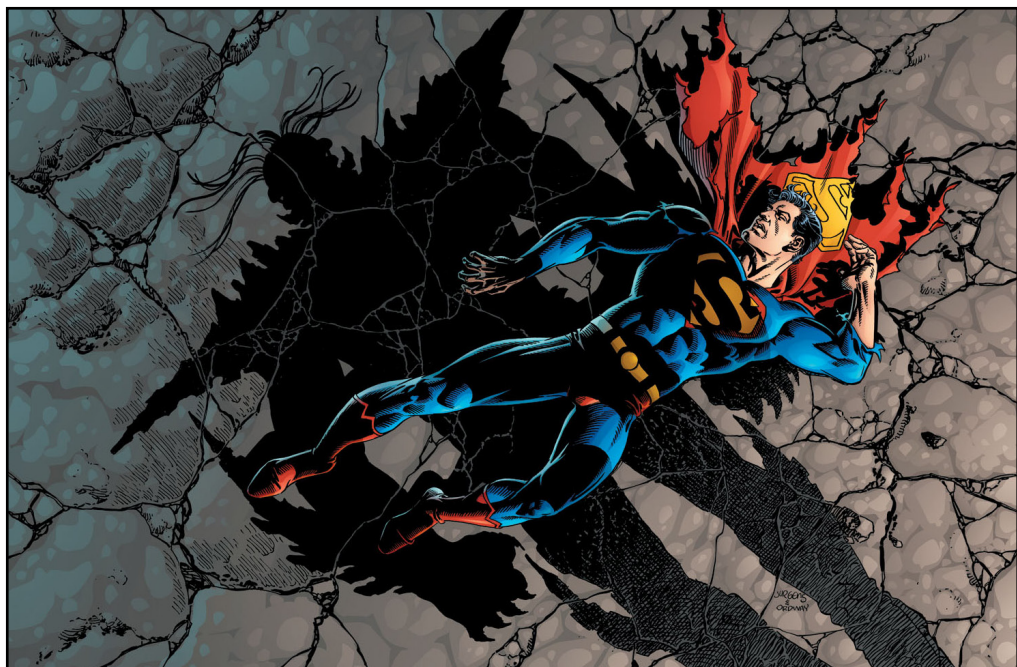
Legendsy do piachu

Choć motyw śmierci (często sfingowanej) w komiksach nie pojawił się na pewno wraz z **Ostatnimi łowami Kravena**, to J.M. DeMatteis pokazał, jak to zrobić w samym środku popularnego cyklu. **Ostatnie łowy** sporo różniły się charakterem od innych ówczesnych historii o Spider-manie. Człowiek-pająk stał się tym samym idealnym przykładem – na co dzień wesoły, sypiący żartami i pomykający na pajęczynie bohater tuż po ślubie wylądował w grobie, co miało niebagatelny wpływ na konstrukcję postaci i idealnie z nią kontrastowało. Mroczny thriller psychologiczny koniec końców okazał się olbrzymim sukcesem, na stałe trafiając do kanonu komiksów o superherosach.

Ostatnie łowy to nie jest jednak najsłynniejsza komiksowa opowieść o śmierci superbohatera. Tutaj palmę pierwszeństwa dzierży Superman.

Na przełomie lat 80. i 90. serie komiksowe o pierwszym i najsłynniejszym superbohaterze zaczęły zjadać swój ogon. Scenarzyści plątali się w coraz gorszych opowieściach science fiction, a samemu Supermanowi ubywało fanów. Nie pomała też konstrukcja postaci – co ciekawego może stać się udziałem faceta, którego moce są praktycznie nieskończone? W ten sposób kolejne historie o Supermanie trzymały się wyświechtanego schematu „kolejny zeszyt, kolejny przeciwnik, kolejne przewidywane zwycięstwo”.





W 1992 roku nadeszła zmiana. Ekipa czuwająca nad fabułą opowieści o Supermanie planowała początkowo przywrócić popularność serii poprzez duże wydarzenie, jakim był ślub Clarka Kenta i Lois Lane. Plany się jednak skomplikowały, bo podobny pomysł mieli autorzy serialu animowanego. Nie chcąc wchodzić sobie wzajemnie w drogę, autorzy komiksu zostawili pomysł ślubu ekipie serialu. W zamian jednak potrzebowali innego wydarzenia, które mogliby ukazać w komiksie. Legenda głosi, że na jednym ze spotkań redakcji, w którym uczestniczyła ekipa scenarzystów komiksu i redaktorzy Mike Carlin oraz Jerry Ordway, padła początkowo żartobliwa propozycja: „Zabijmy go”. Idea zaczęła kiełkować w głowach scenarzystów i nabrała rozpędu. Carlin opowiadał potem: „Świat

traktował Supermana jako pewniaka, więc postanowiliśmy pokazać, jak ten świat wyglądałby bez niego”.

Superman umarł na posterunku. Historia rozkręcała się przez kilka odcinków, aż osiągnęła swoją kulminację w **Super-man vol. 2** #75 autorstwa Dana Jurgensa i Breta Breedinga. Główny bohater staje w niej naprzeciw kosmicznego potwora nazwanego Doomsday. Bitwa obu kolosów pociąga za sobą szereg zniszczeń i ofiar (ginie między innymi kumpel Clarka Kenta – Jimmy Olsen). W końcu Superman umiera na pobojuwisku w ramionach ukochanej Lois. Doomsday pada na ziemię w tej samej chwili. Jest to najbardziej wstrząsający moment całej opowieści, który był jednak tak naprawdę początkiem wydarzeń. Kolejne zeszyty przedstawiały pograżoną

w żałobie Amerykę, pogrzeb herosa oraz całą grupę nowych Supermanów, których ten oryginalny zainspirował do działania.

Ikoniczne stały się obie wersje okładki zeszytu numer 75. Pierwsza z nich przedstawia porozrywaną pelerynę herosa zawieszoną na kiju w miejscu, gdzie Superman zginął. Druga, stworzona na potrzeby zbiorowych wydań opowieści przedstawiała czerwony, krwawiący symbol „S” na czarnym tle (ta wersja została użyta w polskim wydaniu).

Ekipa scenarzystów opowieści o Supermanie odniosła niebywały sukces. Zeszyt przedstawiający śmierć herosa zniknął ze sklepów w ciągu jednego dnia i doczekał się niezliczonej ilości dodruków. Sama zaś historia była początkiem dziesiątek innych, stanowiących kontynuację lub przedstawiających konsekwencje śmierci Supermana, które również były rekordy popularności.

Naiwnym byłby jednak ten, kto uznałby, że prawdziwy i oryginalny Superman już nie wróci. Otóż powrócił niewiele później. Jak się okazało, jego ciało zostało wykradzione z mauzoleum, a regeneracyjne moce posłużyły jednemu z superfotków. Superman uwalnia się jednak i z pomocą innych „Supermanów”, czyli samozwańczych następców, pokonuje swojego mrocznego odpowiednika, znanego jako Ostatni Syn Kryptonu.

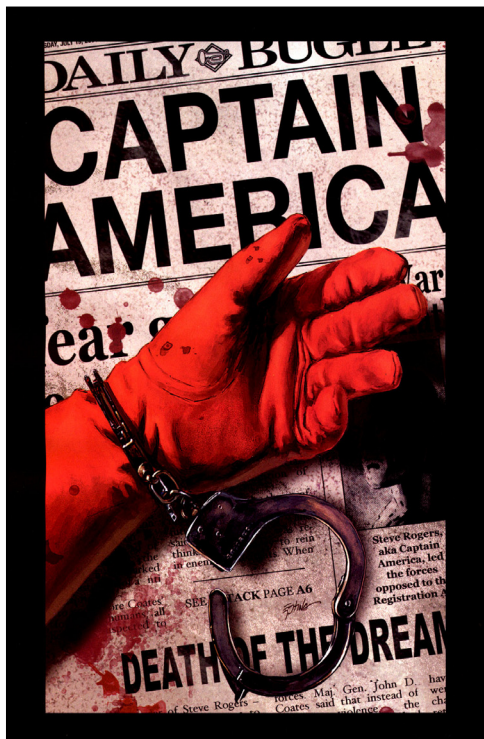
Śmierć Supermana była wydarzeniem na skalę międzynarodową. Opowieść poruszyła nie tylko oddanych czytelników komiksu, ale też przyciągnęła do niego setki tysięcy

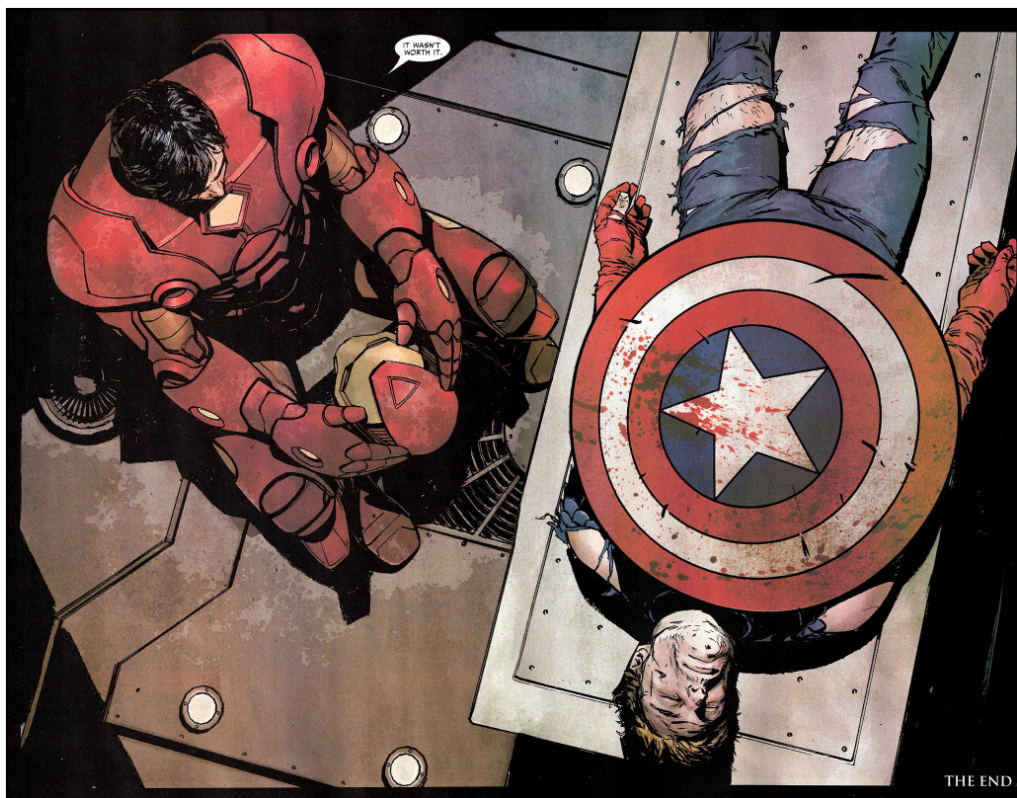
nowych. Uśmiercenie legendarnego bohatera było szeroko komentowane przez światowe media, a sama historia w odcinkach lub w wydaniu zbiorczym ukazała się w wielu krajach świata.

Ameryka upada

Jeśli Superman bezapelacyjnie jest komiksowym symbolem Stanów Zjednoczonych, to na drugim miejscu w tej kategorii niezagrożony będzie Kapitan Ameryka. Jemu całkiem niedawno przydarzyła się zresztą podobna historia. I to na dodatek odpowiada za nią ten sam duet, który wskrzesił Bucky’ego – scenarzysta Ed Brubaker i rysownik Steve Epting.

Śmierć Kapitana Ameryki, choć miała miejsce 15 lat po odejściu Superma-





na, również odbiła się szerokim echem zarówno w świecie przedstawionym w łamach opowieści Marvela, jak również tym realnym. Jeszcze przed premierą zamówiono 290 514 egzemplarzy zeszytu **Captain America** #25, na którego okładce widnieje odziana w czerwoną rękawicę dłoń bohatera z założonymi kajdankami na tle zakrwawionej gazety z tytułem **Death of a dream**. Podobieństw między śmiercią Kapitana Ameryki a Supermana jest więcej – obu seriom znacznie skoczyła popularność, a nieco nudni bohaterowie okazali się nagle herosami tragicznymi i niezwykle barwnymi. Brubaker przy okazji pokazał, że jest scenarzystą nie-

zwykle odważnym i potrafiącym pisać historie o dużym rozmachu i znaczeniu, co wyniosło go do rangi absolutnych gwiazd komiksu.

Śmierć Kapitana Ameryki miała jednak inne dno, którego śmierć Supermana nie posiadała. Uśmiercenie symbolu Stanów Zjednoczonych zostało w mediach porównane do wydarzeń, jakie miały miejsce bezpośrednio po zamachach na World Trade Center. W wielu publikacjach scenariusz Brubakera został uznany za ważny społeczny i popkulturowy efekt traumy spowodowanej wydarzeniami z 11 września oraz późniejszymi inwazjami na Afganistan i Irak. I tutaj

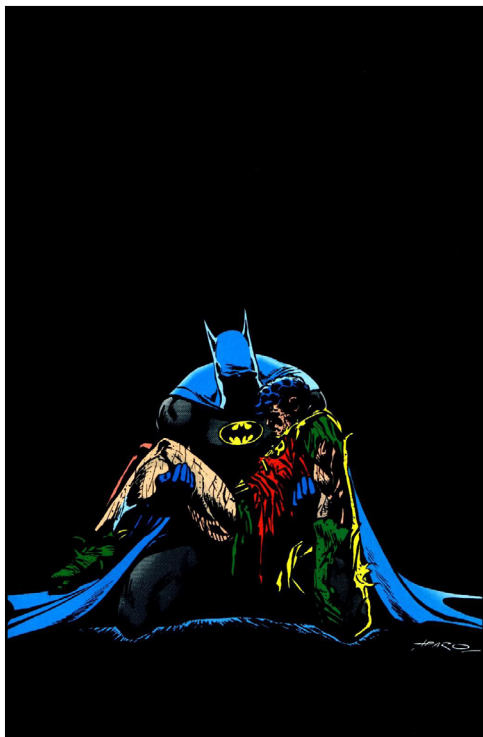
można dostrzec kolejny symbol – Kapitan Ameryka oczywiście powrócił, a jego powrót stał się swojego rodzaju metaforą odbudowy wielkości Stanów Zjednoczonych. W przeciwieństwie do Supermana Kapitan nie powrócił jednak w swojej nienaruszonej, oryginalnej postaci. Na pewien czas zastąpił go nowy Kapitan, którym został nie kto inny, jak Bucky Barnes. Bucky, który nie posiadał mocy prawdziwego Kapitana, czyli Steve’a Rogersa, otrzymał zbroję z adamantium (tego samego, z którego zrobione są pazury Wolverine’a) i nowe uzbrojenie. Kiedy wskrzeszony został Rogers, obaj występowali obok siebie, aż w końcu Bucky powrócił do tożsamości Zimowego Żołnierza.

Chleb powszedni

W komiksach, które doczekały się swojej publikacji w Polsce, umierał m.in. Punisher – marvelowski zabijaka, który ginął, wydawałoby się, dwukrotnie. Najpierw na niby, udało mu się bowiem zebrać komplet największych szumowin w wieżowcu, który ostatecznie wysadził. Wszyscy, łącznie z czytelnikami, przekonani byli o tym, że Frank Castle nie żyje, gdy ten spokojnie odpoczywał sobie w małym miasteczku. Sielanka nie trwała długo, Punisher wrócił do walki. Po kolejnych perypetiach poddał się agentom S.H.I.E.L.D, którzy próbowali wyleczyć go z obsesji zabijania. Coś jednak poszło nie tak i Frank uśmiercił samego szefa agencji – Nicka Fury’ego (kolejna ważna postać świata Marvela). Oczywiście, jak można się domyśleć, Fury nie miał zamiaru zniknąć z kart komiksu i ostatecznie okazało się, że

Castle zabił jedynie robota. Niemniej jednak Punisher zaczął tracić zmysły, zdając sobie sprawę z beznadziejności swojej misji i popełnił samobójstwo. I tutaj następuje dość kuriozalny jak na tę serię zwrot akcji. Castle został wskrzeszony przez anioły, by walczyć jako agent nieba. To jednak nie do końca odpowiadało bohaterowi, który w końcu został z powrotem zrzucony na ziemię w pierwotnej postaci. I wszystko zaczęło się od nowa. Seria zyskała nowy początek, a co z tym idzie nowych czytelników i artystów. Wszystko idzie dobrze do dziś.

Marvel jest w ogóle przodownikiem, jeśli chodzi o uśmiercanie swoich bohaterów bez żadnych konsekwencji. Umierają chyba wszyscy z X-Men,



ale niewielu z nich umiera na dobre. Uśmierceni zostają także m.in. Human Torch z Fantastycznej Czwórki, Magne-to, Mystique, Nightcrawler, Profesor X. Zdarza się to nawet tym, którzy teoretycznie umrzeć nie mogą, jak np. Sabretoothowi, który został zabity przez Wolverine'a i jeszcze nie został wskrzeszony (choć zapewne jest to kwestią czasu).

Marvel oczywiście nie jest jedynym wydawnictwem, które stosuje taką woltę. Podobne sytuacje przydarzały się bohaterom DC. Poza Supermanem zaświaty zwiedzali m.in. Robin, Flash, Lobo, Wonder Woman.

Uśmiercanie komiksowych bohaterów do odświeżenia serii może wydawać się zabiegiem przewidywalnym i pewnego rodzaju pójściem na łatwiznę. Jednak warto zauważyć, że

jest zgodne z charakterem komiksu superbohaterskiego. Mamy tutaj bowiem do czynienia z nowoczesną wersją mitów, w których bogowie umierają i odradzają się niemal cały czas. Nie wspominając już o braku upływu czasu w komiksach – postaci, które pojawiły się na kartach komiksów kilka dekad temu, nie starzeją się i umierają w kwiecie wieku. Nieustanne odradzanie się świata przedstawionego odbywa się zatem za pomocą sprytnego resetu, jak i poprzez wprowadzanie do obiegu nowych serii mających przybliżyć kolejnym czytelnikom początki kariery najpopularniejszych postaci. Na kartach komiksów nic bowiem nie ginie i żaden umarłak nie może spać spokojnie.

Jakub Milszewski



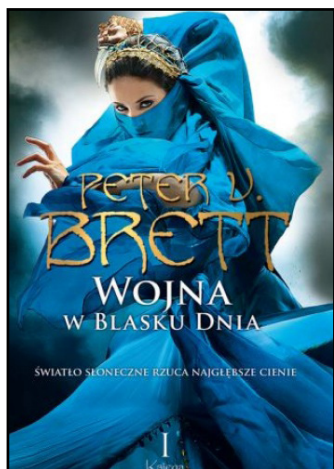
Kiedy dzień staje się coraz krótszy, demony wychodzą ze swego ukrycia

Nie sposób pisać o trzeciej części **Demonicznego Cyklu**, nie wspominając o nieszczęsnym podziale tomów na księgi. Po genialnym zakończeniu **Pustynnej Włóczni** napięcie nieustannie roso, gdyż musieliśmy czekać ponad dwa lata na kolejny tom. Jaka będzie **Wojna w blasku dnia**? Czy spełni pokładane w niej oczekiwania?

Wydanie obydwu ksiąg **Wojny...** oddziało kilka miesięcy. W tym czasie frustracja roso. Na świecie książki Bretta wychodzą jako całość. Tylko w Polsce zdecydowano się na rozdzielenie jej na części. Kiedy w końcu można było chwycić kolejną księgę **Wojny...**, wszystko stało się jasne. Fabuła trzeciego tomu została tak skonstruowana, żeby płynnie przechodzić od historii Inevery

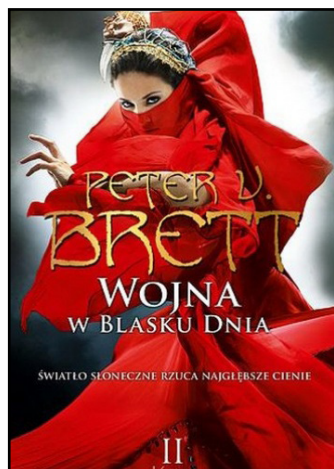
do konfrontacji Arlena i Jardira. Jednak feralny podział na księgi tak zaburzył odbiór całości, że odnosi się wrażenie czytania najpierw nieco nudnej książki, aby dopiero później przejść do tej ciekawszej.

Mimo wszystko **Wojna w blasku dnia** to bardzo dobra kontynuacja **Cyklu**. Utrzymuje wciągającą akcję, rozbudowuje kolejne wątki i posta-



Peter V. Brett

Wojna o blasku dnia, księga I



Peter V. Brett

Wojna o blasku dnia, księga II



ci, a kończy się tak, że nie sposób nie myśleć o następnej części.

Nów zapanował nad światem. Otchłańce, tym razem pod wodzą demonich książąt, zebrały się wokół dwóch najważniejszych ludzkich skupisk – pod Zakątkiem i Nowym Rizon. Naznaczoney Arlen i Wybraniec Jardir, każdy na swój sposób, próbują przeciwstawić się napierającej fali potworów. Choć po swojej stronie mają moce run oraz starożytnych artefaktów, Otchłańce zdają się pojawiać bez końca. Kilka nocy nowiu to dla obrońców wielkie wyzwanie, ponieważ otwarcie stają w walce nie tylko z potworami, ale także z własnym strachem.

Starcie nie zostaje rozstrzygnięte w tym tomie. Wiadomo, że dojdzie do kolejnych potyczek podczas następnego nowiu. Ludzie wiele nauczyli się o nowym, sprytniejszym przeciwniku. Jednak Otchłańce nie pozostają im dłużne.

Pierwsza bitwa w **Wojnie w blasku dnia** została bardzo wartko napisana i należy do najlepszych fragmentów książki. Niestety, właśnie w okolicy tego wydarzenia ma miejsce ślub

Arlena z Renną, jego dotychczasową towarzyszką, przez co odnosi się wrażenie, że ich miłość rozmywa postać Naznaczonego. Wprawdzie szykuje się on do bitwy, ale ma także czas na okazywanie czułości. Albo jest to specjalny zabieg i autor chce, aby czytelnicy nieco zdystansowali się do bohatera, albo wyszło to zupełnie przypadkowo.

Oprócz Arlena zmienia się także Leesha, na którą wpływ miał romans z Jardirem. Nękają ją migreny oraz poranne nudności. Po powrocie do Zakątka wdaje się w kolejny romans – jest zupełnie inna niż na początku **Cyklu**. Momentami przypomina swoją matkę.

Bardzo dobrze, że Brett nie stworzył swoich bohaterów niezmiennymi. Widać, że pod wpływem wydarzeń ich osobowości przekształcają się i hartują.

Koniec książki wieńczy powtórne spotkanie Jardira i Arlena – niegdyś przyjaciół, potem zawziętych wrogów. Postawieni wobec siebie oko w oko muszą zdecydować, czy walczyć ze sobą, czy stanąć ramię w ramię i przeciwstawić się stworom z Otchłani.

Karolina Joisan

U źródeł polskiego internetu

Początki internetu w Polsce to czasy na miarę Dzikiego Zachodu. Liczyła się wewa, pomysł, odwaga i szybkość. Gadu-Gadu wyprzedziło Tlen i podbiło rynek. Pudelek jako pierwszy dał to, czego szukali miłośnicy plotek o celebrytach – dziś jest serwisem-instytucją. Merlin, choć mocno inspirowany Amazonem, wniósł nową jakość w polski świat zakupów internetowych. Ich twórcy często błędzili po omacku, jednak nie można odmówić im zasług. Jest też coś, co łączy wszystkich bohaterów książki – pasja, determinacja, innowacyjne pomysły i gotowość na sukces.

Kulisy start-upów i biznesów, bez których dzisiaj trudno wyobrazić sobie nasz polski internetowy nieboskłon, odsłaniają rozmowy Tomasza Ciska i Pawła Nowackiego przeprowadzone między innymi z Arkadiuszem Osiakiem (Money.pl), Arjanem Bakkerem (Allegro.pl), Łukaszem Wejcherem (Onet.pl) czy Piotrem Ejdysem (Gemius SA). W wywiadach tytułowi e-wangeliści pytani są nie tylko o źródła inspiracji, ale i o przyczyny porażek. Zaskakujące jest, jak często wielkie biznesy rodziły się z przypadku. Albo z jak przyziemnymi problemami twórcy największych obecnie serwisów musieli walczyć na początku swoich działalności. Na przykład Michał Brański, Jacek Świdorski i Krzysztof Sierota (najbardziej udani rozmówcy wśród cytowanych e-wangelistów) nie byli programistami z wykształcenia. Mimo to stworzyli najpopularniejszy nie-

gdyś system kont pocztowych, Tlen, Pudelek oraz Wrzute. Kto by pomyślał, że początkowo serwisy tworzyli w piwnicy, a konta pocztowe doszczętnie zapychały łącza w okolicy.

Pomimo genialnego pomysłu i kilku lat pracy jest to książka bardzo nierówna. Autorom nie można zarzucić braku przygotowania merytorycznego, ale trudna forma dziennikarska, jaką jest wywiad, zdecydowanie ich pokonała. Możliwe też, że nie wszyscy mogli lub chcieli zdradzić coś więcej niż kilka mniej znanych ciekawostek. Czasami wieje nudą, miejscami przydałoby się więcej „pikanterii”. Autorzy zapowiadali kontynuację **E-wangelistów**, licząc więc, że „wersja 2.0” pobije poprzednika na głowę.

Ana Matusevic



Tomasz Cisek, Paweł Nowacki

E-wangeliści

PREMIERY. gier

#strategia #turowa

*Sid Meier's Civilization V:
Brave New World*

W trakcie sezonu ogórkowego dodatek na miarę **Nowego Wspaniałego Świata** to prawdziwy rarytas, który doceni każdy szanujący się fan strategii. Zdaje się, że tym razem twórcy poszli po rozum do głowy i zaimplementowali do swojej gry wszystko to, czego ewidentnie wcześniej brakowało.

W najnowszą **Cywilizację** w końcu można grać bez zgrzytania zębami! I jest to bodajże pierwszy dodatek, który wprowadza zmiany na tak szeroką skalę, zahaczając zarówno o politykę, jak i ekonomię, handel czy nawet turystykę.

Dla rodzimych fanów dodatkową zachętę stanowi Rzeczpospolita z Kazimierzem Wielkim i husarią na czele jako grywalna nacja. **Nowy Wspaniały Świat** otarł się wręcz o doskonałość i grzechem jest nie mieć go w swojej kolekcji – pod warunkiem, że wcześniej mieliśmy do czynienia z **Cywilizacją**.



#akcja #moto #TPP

Ride to Hell: Retribution

*

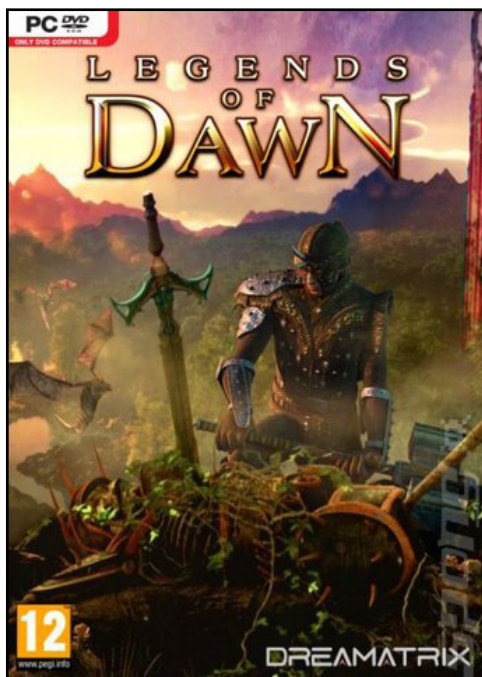
Harley Davidson, niekończące się drogi międzystanowe przecinające w pół majestatyczne pustkowia, mocne gitarowe rify i obrzyn przy nodze – czy potrzeba czegoś więcej? Wykonania, pomysłu, polotu... i tysiąca innych rzeczy, których w **Ride to Hell** zabrakło. Jest to jedna z nielicznych gier, która idealnie oddaje znaczenie swojego tytułu. **Ride to Hell** to droga przez mękę najeżona drewnianą walką, fabułą, którą nawet UweBoll uznałby za słabą, i seksem w ubraniach (sic!). Najwidoczniej zabrakło kasy na dorobienie kilku skąpiej ubranych modeli. Niestety, wbrew nazwie, na końcu nie czeka na nas odkupienie. To mogłoby się ziścić tylko w przypadku zwrotu pieniędzy. Dużę ilości pieniędzy.

#cRPG, #fantasy

Legends of Dawn

**

Gry niezależne postrzegane są w innej kategorii. Traktujemy je jako dzieło, które ma coś przekazać, ukazać swoją głębię, a wszelkiego rodzaju niedociągnięcia zrzucamy na karb skromnego budżetu. Dość! Miarka się przebrała. Żaden deweloper nie będzie już wykorzystywał nostalgii graczy, obiecując powrót do korzeni. Tak bowiem było w przypadku **Legends of Dawn** – w zamyśle **oldschoolowiec** RPG w rzucie izometrycznym, z chmarą zróżnicowanych przeciwników, zaawansowanym rozwojem postaci i intrygującą historią. W praktyce oldschoolowa jest wyłącznie oprawa graficzna i w żadnym wypadku



nie jest to komplement. Zresztą czego spodziewać się po przygodzie, która rozpoczyna się od arcyważnego zadania polegającego na dostarczeniu piwa kapitanowi statku? Dalej jest już tylko gorzej. Szkoda jedynie graczy, którzy zaufali twórcom i wysułąli na ten projekt swoje zaskórniaki w Kickstarterze.

#akcja #Marvel #komiks

Deadpool: The Video Game

Najbardziej irytujący a zarazem intrygujący (anty)bohater uniwersum Marvela dostaje własną grę – i to dosłownie, bo nawet podczas rozgrywki o tym mowa. Deadpool to postać niezwykle barwna i zwariowana, której zdecydowanie brakuje piątej klepki. Jeszcze przed premierą bałem się, że twórcy nie sprostają zadaniu, że rys psychologiczny najemnika będzie zbyt trudny do odtworzenia na ekranach komputerów. Już pierwsze godziny przekonały mnie, jak bardzo się myliłem. Szkoda, że tylko na tym się skończyło, bo nawet biorąc pod uwagę dzisiejsze standardy, gra jest bardzo krótka, a przy okazji irytująca pod względem technicznym – nieprzystosowane do klawiatury sterowanie jeszcze jestem w stanie zdzierżyć, ale chaotycznej pracy kamery już nie. Tytuł tylko dla zadeklarowanych fanów zarówno Deadpoola, jak i chodzonych bijatyk.

#przygodówka #zombie

The Walking Dead: 400 Days

Zgodnie z powiedzeniem, że nie zarzyna się kury znoszącej złote jaja, Telltale Games wydaje szybkie (dosłownie) DLC, które ma stanowić po-



most pomiędzy pierwszym a drugim sezonem gry (bo epizody i sezony lepiej się sprzedają). Cóż, chyba nie stanowi, a przynajmniej ja nie znalazłem żadnych zależności. **400 Days** to niezwykle krótka, bo zajmująca zaledwie półtorej godziny przygodówka, która została wyprana ze wszystkich charakterystycznych elementów serii. Nie ma tu zagadek logicznych, a zżycie się z bohaterami jest wręcz niemożliwe – bo jak polubić kogoś, z kim mamy do czynienia zaledwie przez 10 minut? Zdecydowanie za dużo tu postaci (aż 6 grywalnych), a za mało nawiązań do wcześniejszych bohaterów. O ile **The Walking Dead** było grą roku, tak **400 Days** można sobie spokojnie odpuścić.

#przygodówka #erotyka

Leisure Suit Larry: Reloaded

Powrót Larry'ego Laffera to jedno z największych wydarzeń ostatnich miesięcy, przynajmniej w świecie gier przygodowych. Podstarzały nieudacznik-eroto-man jest postacią wręcz ikoniczną. Tylko czy po tylu latach infantylny i płaski humor bawi równie dobrze, co kiedyś? Niestety nie. W dobie wszechobecnej pornografii, roznegliżowanych pań na stronie głównej Wirtualnej Polski i spopularyzowanej przemocy nie ma miejsca na niewinne, erotyczne żarty w starym stylu. W przeciągu ostatnich lat wyparował ten specyficzny klimat, który sprawiał, że przygody konusa były czymś ekskluzywnym, kuszącym i wciągającym jednocześnie. Erotyka stała się po prostu zbyt dostępna. Poza tym goła Triss Merigold sprawia znacznie lepsze wrażenie.

Opracował: Wojciech Onyszków

Skala ocen:

Balls of steel

Headshot!

I live, again

Let's rock

War. War never changes

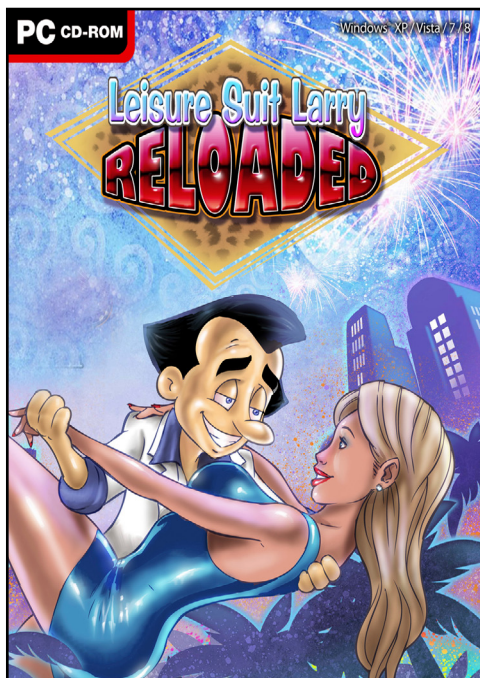
Przed wyruszeniem w drogę,
należy zebrać drużynę

Finish him!

Bomb has been planted

**
Blood for the Blood God

*
Game over



To już dodatek, czy jeszcze DLC

Labirynt zdawał się ciągnąć w nieskończoność. Skrzętnie ukryta zapadnia omal nie zrzuciła cię prosto na błyszczące, dobrze zaostrzone kolce. Kilka kroków dalej czyhała mumia. Już miałeś się poddać, ale wiedziałeś, że skarb wszystko ci zrekompensuje. Po piętnastu minutach kombinowania omijasz zabandażowanego trupa i brniesz do przodu. W oddali zaczynają majaczyć ogromne drzwi. To właśnie za nimi znajduje się to, po co tu przyszedłeś – nagroda za twój trud. Dobiegasz do wrót, kładziesz rękę na mechanizmie otwierającym i... wyświetla się napis informujący o konieczności wykupienia pakietu DLC. Bez sięgnięcia do portfela nigdy nie dowiesz się, co znajduje się w skrzyni.

Nie zdziwię się, gdybym za jakiś czas spotkał się z wyżej przytoczoną sytuacją. Mikrododatki, przez marketingowców zwane jako DLC, stają się coraz bardziej bezczelne. Z buciorami ładują się na salony graczy, pozostawiając plamy błota na eleganckim dywanie. Żeby je usunąć, musisz oczywiście zapłacić.

W imię pieniądza

Kilka lat temu słowo „dodatek” kojarzyło się przede wszystkim z rozbudowaną zawartością, całkowicie nową fabułą i możliwością poznania historii z zupełnie innej perspektywy (ktoś jeszcze pamięta **Gothic 2: Noc Kruka**?). Dzisiaj jest to wypolerowany miecz +5, którym bezproblemowo zabijesz stojącego na twojej drodze smoka. Ochronę przed wyniszczającym zionieniem zapewni ci natomiast tarcza o wartości 5 dolarów, z emblematem miniaturowej

wersji kosmicznego chomika. Nie ma w tym większego sensu, ale grunt, że się sprzedaje.

Płatne wyposażenie idzie jeszcze przeboleć, o ile nie daje ono wielkiej przewagi nad przeciwnikiem. Znacznie gorzej sprawa wygląda, gdy wycinana jest część gry, by później móc ją sprzedać jako dodatkowy pakiet. Tym bardziej, że znajduje się ona na płycie i jest uaktywniana po uiszczeniu stosownej opłaty. Rozbój w biały dzień? Bezczelna zagrywka marketingowa? Nazywajcie to jak chcecie.

Twórcy tłumaczą się, że w dzisiejszych czasach rynek wtórny zabija studia deweloperskie i znacząco ogranicza ich zyski. DLC ma zatem zmusić gracza do zatrzymania płyty z grą, bo przecież będzie chciał poznać alternatywne losy swojego ulubionego bohatera. Tylko za jaką cenę?



Dodatkowe uzbrojenie w Mass Effect 2



Zbroja dla konia w The Elder Scrolls: Oblivion

Dodatek doskonały

Nie mam nic przeciwko DLC, o ile jest ono przemyślane i faktycznie wprowadza nową zawartość, a nie pewien wycinek oryginalnego kodu. Z miłą chęcią powróciłem w ostatnim czasie do moskiewskiego metra, by rozegrać trzy niezobowiązujące misje rzucające mnie po różnych stronach konfliktu. W głównym wątku fabularnym **Metro: Last Light** nie było na to po prostu miejsca – przygoda stałaby się mniej spójna i pozbawiona skrętnie budowanego napięcia. **Faction Pack** rozszerzył

postapokaliptyczny świat i rzucił nowe światło na wcześniej zaprezentowane wydarzenia. Taki dodatek ma po prostu sens.

Będzie jeszcze gorzej

Obserwując trendy zachodzące w branży gier, można łatwo wywnioskować, że będzie jeszcze gorzej. Microsoft już teraz zapowiedział, że premierowe tytuły na jego nową konsolę niekoniecznie muszą być w pełni skończone. Resztę zawartości deweloper może dodać w momencie, gdy będzie na to



Metro: Last Light – Faction Pack

gotowy. Nie wydaje mi się jednak, by odbywało się to za darmo. A gracze zapłacą za coś, co z pozoru należy im się jak psu buda.

Przyszłość, której motywem przewodnim będzie DLC, jest raczej nieunikniona i nic na to nie poradzimy. Możemy jedynie rozsądnie wydawać nasze pieniądze, wspierając tych twórców, którzy faktycznie na to zasługują. Tylko jak tu nie ulec presji, gdy przegrywa się wyścig tylko dlatego, że przeciwnik jechał dostępnym wyłącznie w pakiecie DLC Egoistem?

Wojciech Onyszków

Czytasz za darmo?

Wyślij SMS-a

Nie mamy nic przeciwko *darmowemu przesyłaniu* znajomym numerów naszego pisma! Jeśli jednak posiadasz ten numer z takiego źródła, a uważasz, że jest on wart swojej ceny - zapłać ją! **To tylko 1.23 zł**, a pozwala nam kontynuować i rozwijać naszą działalność.

Wyślij **HPAY.ALTERPOP** na numer **7155** (1.23 zł)

